Rok IV | Środa 3 października 1934 r. | Nr. 258

NOWY CZAS

KATOWICE
Mielęckiego nr. 8
Telefon 346-48 — P. K. O. Nr. 300277

10 Gr

Reprezentacje:
Cieszyn, Rynek
Bielsko, Kolejowa 11
Sosnowiec, Będzińska
Rybnik — Król. Huta
Tarn. Góry — Lublinice

Wstrząsająca katastrofa pod Krakowem

Pociąg pośpieszny z Wiednia najechał na pociąg pośpieszny z Gdyni

6 zabitych, zgórą 50 rannych, w tem osóby ze Śląska

KRAKÓW, 3. 10. (tel. wł.) We wtorek o godz. 7.15 wydarzyła się w Krzeszowicach wstrząsająca katastrofa kolejowa, na stojący na torze pociąg pospieszny z Gdyni zdążający do Krakowa najechał pociąg pospieszny z Wiednia zdążający również do Krakowa. Skutki katastrofy okazały się fatalne. Tylne wagony pociągu gdyńskiego zostały doszczętnie zniszczone. Liczba ofiar katastrofy wynosi pięciu zabitych, dwie osoby zmarłe z odniesionych ran i 10 ciężko rannych.

Miejsce katastrofy bezpośrednio po wypadku przedstawiało potworny widok. Wagony są spiętrzone, a ostatnie zostały przez parowóz pociągu wiedeńskiego formalnie zmiażdżone. Grozą przejmujący i krew w żyłach ścinający widok przedstawiały osoby zabite. Byli to pasażerowie, którzy w momencie katastrofy wyglądali oknem i tak ich śmierć zaskoczyła. Trupy bezwładnie zwisały z okien.

Według półoficjalnych wiadomości do katastrofy doszło w następujący sposób. Na pierwszym semaforze od stacji stał pociąg gdyński, który z niestwierdzonych dotąd powodów stanął przed sygnałem wskazującym wjazd wolny na boczny tor. Podobno maszynista pociągu nie chciał jechać dlatego, że nie otrzymał rozkazu pisemnego, aby wjechać na boczny tor. W tym czasie nadjeżdżał pociąg wiedeński, któremu drugi semafor wskazywał wjazd wolny, co stało się bezpośrednią przyczyną katastrofy.

Maszynista pociągu wiedeńskiego z powodu gęstej mgły nie dojrzał stojącego pociągu gdyńskiego, to też jechał całą parą. Na szczęście w ostatniej prawie chwili kolejarz z pociągu gdyńskiego, Antoni Kaczmarek, dojrzał wyłaniający się z zakrętu pociąg. Z błyskawiczną decyzją dzielny kolejarz pobiegł naprzeciw pociągu i machał czerwoną chorągiewką. Dojrzeli ją w lokomotywie pociągu wiedeńskiego. Kontrpara. Zapóźno. Pociąg zwolnił wprawdzie biegu do szybkości 15 klm, co zmniejszyło skutki katastrofy, ale nie dało jej już zupełnie uniknąć. Głośny huk przeszył powietrze.

SKUTKI ZDERZENIA BYŁY PRZERAŻAJĄCE.

Powietrze przeszyły straszliwe jęk konających i rannych, wśród pasażerów nienaruszonych wagonów wybuchła straszna panika. — Kobiety potraciły głowy i mimo, że nic im już nie groziło, wyskakiwały przez okna, wybijając szyby, odnosząc przytem dotkliwe okaleczenia.

Natychmiast po nadejściu pierwszej wiadomości o katastrofie wyjechał z Krakowa na miejsce katastrofy szef prokuratury sądu okr. karnego prok. dr. Spólnik oraz 1 oficer krakowskiego urzędu śledczego.

Dyrekcja P. K. P. wysłała na miejsce katastrofy pociąg ratowniczy, którym pojechali przedstawiciele władz kolejowych Krakowa z dyr. inż. Wołkanowskim na czele.

LISTA OFIAR.

Zabici w katastrofie zostali:

Jan Baran, emerytowany konduktor ze Lwowa, dr. Dziubczyński, adwokat ze Lwowa, Starach Ludwik, st. asesor kolejowy, 10-letnia dziewczynka nieznanego nazwiska, i 15-letnia dziewczynka, która prawdopodobnie nazywa się Herbówna, oraz Knyszewski Teodor.

Ciężko ranni przebywający w szpitalu:

Piłatówna Agata lat 31, nauczycielka zam. w Święcianach, Słabiszewska Anastazja lat 36, zam. w Katowicach, Zarzycki Wiktor, lat 33, zam. w Piekarach Rudnych, pow. Tarnowskie Góry, Bora Marja, lat 52, Lwów, ul. Miejska, Herb Johann, Gdańsk, Herbst Emma, lat 44, Gdańsk, Niemczyk Jadwiga 5 miesięcy, Kraków, Ostańska Józefa, lat 27, Tomaszewski Alojzy, lat 32, Tarn. Góry, Kiełbasińska Jadwiga, żona wachmistrza trzeciego pułku ułanów z Tarnowskich Gór.

Lekko ranni, pozostający w szpitalu: Pękala Adam, lat 33, kapral wojsk polskich z Oświęcimia, Kasprowicz Stefanja, lat 19, uczennica ze Lwowa, Kasprowicz Franciszek, lat 15, uczeń ze Lwowa, Kasprowicz Antoni, lat 45 ze Lwowa, Batko Emil, lat 62, rolnik z Cholelowa pow. Biała, Wysocki Karol, lat 52, em. sztygar z Libiąża, Witkowski Władysław, lat 25 z Mysłowic, Kania Adolf, lat 29 z Mysłowic, Przybyła Ignacy, lat 42, z Bytomia, Nowicki Franciszek, lat 43 z Rawicza, Ślizar Włodzimierz, lat 52 z Poznania, Pikor Feliks, lat 44 z Torunia, Grinfin Bubilzno, lat 61 z Antwerpji, Węgłowska Amalja, lat 23 z Nowego Bierunia, Gągor Antoni, lat 22 z Świętochłowic, Żurowska Zofja, lat 32 ze Lwowa, Żurowski Jan, lat 36 ze Lwowa, Jarocka Konstancja, lat 42 z Bydgoszczy, Maćkowiak Franciszek, lat 55 z Wągrowca, Penerkowa Anna, lat 44, żona lekarza z Czeladzi, Maa Franciszek z Katowic, Onczarel Ludwik, kierownik pociągu nr. 7, Waldemar, lat 31, Kogut Karol, weterynarz z Kęt, Kura Edmund, lat 34 z Nowego Bytomia, Zebrzycki Zygmunt, lat 54 z Poznania, Biler Herman, lat 35 z Wiednia, Wiktorczyk Roman z Krakowa, Kapla Jan z Krakowa, Piwowarski Józef z Krakowa, Herbert Franciszek z Krakowa, Kitaj Ludwik z Gdyni.

Pozatem 11 osób zostało lekko rannych i opatrzonych na miejscu katastrofy.

Czy dojdzie do strajku

u ks. Pszczyńskiego?

Klka tysięcy górników zatrudnionych w kopalniach księcia Pszczyńskiego, które jak wiadomo znajdują się pod zarządem przymusowym znalazły się w bardzo przykre położeniu, gdyż robotnicy za miesiące sierpień i wrzesień do tej pory nie otrzymali jeszcze zarobków. Wypłacono im jedynie drobne zaliczki.

Wspólna rada zakładowa kopalń księcia Pszczyńskiego wysyłała już kilkakrotnie delegację do dyrekcji i do zarządcy przymusowego inż. Kowalskiego jednak bez rezultatu.

Wydział Rad Zakładowych wystosował w sprawie tych zaległości zarobkowych skargą do Sądu Przemysłowego.

Robotnicy odmową wypłaty zaległości są tak oburzeni że grożą strajkiem o ile nie nastąpi wypłata zaległości.

Wydział Rad Zakładowych zwrócił się ponadto do naczelniku Wydziału Przemysłu i Handlu przy Śląskim Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach z prośbą o interwencję w tej sprawie. Naczelnik tego wydziału p. Rudowski, przyrzekł zatarg ten załatwić.

—o—

Zabójca Marty Cwielong

przed sądem apelacyjnym w Katowicach

Nieszpór będzie poddany badaniu psychjatrycznemu

Przed Sądem Apelacyjnym w Katowicach odpowiadał w dniu wczorajszym inwalida górniczy, Wincenty Nieszpór z Chorzowa, oskarżony o zabójstwo Marty Ćwielongowej.

W pierwszej instancji Nieszpór skazany został na 7 lat więzienia.

Tło sprawy w świetle przewodu sądowego przedstawiało się następująco. W dniu 1 czerwca bawiły się na podwórzu domu dzieci lokatorów strzelaniem z wiatrówki. Nieszpór, który był zarządcą domu zwrócił się do dzieci by przestały strzelać.

Na tem tle doszło do sprzeczki między nim a małżeństwem Ćwielong, która wkrótce przemieniła się w bójkę.

W trakcie bójki iNeszpór zadał Ćwielongowej kilka ran nożem, w wyniku których zmarła ona kilka godzin później. Na rozprawie Nieszpór tłumaczył się, że był bardzo zdenerwowany.

Sąd postanowił poddać oskarżonego 6-tygodniowemu badaniu psychjatrycznemu i w związku z tem rozprawę odroczył.

—o—

Wyrok na Hartmanna na str. 3-ej

Nieporozumienia polsko-francuskie

wynikiem niewłaściwej płaszczyzny stosunków

PARYŻ, 2. 10. „Le Jour" zamieszcza na naczelnem miejscu wywiad z prezesem francuskiej Unji narodowej b. kombatantów Lebecq'em w sprawie wspólnego zebrania delegacji polskiej i francuskiej na kongres Fidac'u w Londynie. Lebecq przytacza treść oświadczenia gen. Góreckiego, w którem prezes polskiego Fidac'u zapewniał kombatantów francuskich o niezmiennej woli Piłsudskiego utrzymana przymierza i przyjaźni francusko-polskiej i zaznaczył, że, bez względu na zawarte pakty, Polska zawsze znajdzie się u boku Francji w razie, gdyby była ona zaczepioną. Lebecq, witając z uznaniem inicjatywę gen. Góreckiego, zapowiedział, że zgodnie z uchwałą wspomnianego zebrania, wkrótce będzie wydana i szeroko rozpowszechniona broszura, która pozwoli poznać prawdę o istniejących sporach między Polską a Francją i przyczyni się do uregulowania nieporozumień między obu krajami, związanemi przyjaźnią.

Wywiad Lebecqa dziennik poprzedza następującym wstępem: Jest publiczną tajemnicą, że istnieją nieporozumienia między Polską i Francją i chciałoby się wierzyć, że są to tylko nieporozumienia. Czy Polska jest „wierna" Francji? Czy ten zwykły wyraz „wierna" nie skłania Polaków do postawienia stosunków z nami na płaszczyźnie zbyt upokarzającej, jakby wierność nie była wielką cnotą równych sobie, więcej nawet niż w stosunkach z podległymi. Jeśli istotnie mogą być rozproszone nieporozumienia, to stanie się to dzięki generacji, która przeszła przez chrzest ognia. To właśnie nadaje wagę oświadczeniu Lebecq'a.

Krwawa tragedja miłosna w Lędzinach

Nożem rzeźnickim zarżnął narzeczoną i sam popełnił samobójstwo

Wczoraj w południe w Lędzinach obok kop. szybu „Piast" na szosie z Bierunia Starego w kierunku Kosztów rzeźnik 26-letni Paweł Gałuszka z Brzezinki pod Mysłowicami pozbawił życia swą narzeczoną 20-letnią Kuś Zofję, ekspedjentkę sklepową zam. w Brzezince przy ul. Sobieskiego 26.

Gałuszka nożem rzeźnickim poderżnął narzeczonej szyję, przeciał jej krtań i tętnice, skutkiem czego śmierć nastąpiła na miejscu.

Następnie zabójca tym samym nożem zadał sobie cios w lewy bok, między 6 a 7 żebrem i jednocześnie naruszył mięśnie sercowe.

Sprawca widząc, że cios nie spowodował natychmiastowej śmierci, z całą świadomością umysłu poderżnął sobie gardło w ten sam sposób jak poprzednio dokonał mordu na narzeczonej i zmarł również na miejscu.

Przechodnie, którzy mimowoli byli świadkami tego zajścia powiadomili o wypadku miejscowy posterunek policji.

Zwłoki przewieziono do kostnicy w Lędzinach, gdzie komisja sądowo-lekarska, dokona sekcji zwłok. Powodem zabójstwa i samobójstwa były niesnaski narzeczeńskie.

—o—

Zgon kardynała Mori na atak serca.

Robotnicy u Ojca Św.

Miasto Watykańskie, 3. 10 Wczoraj w nocy w Loro Piceno, swem miejscu rodzinnem, zmarł nagle na atak sercowy J. Em. ks. kardynał Józef Mori.

Śp. Kardynał Giuseppe Mori urodził się w Loro Piceno, diecezji Permo we Włoszech, 24 stycznia 1850 r. Kapelusz kardynalski z tytułem djakona kościoła S. Nicola in Corcere w Rzymie otrzymał na konsystorzu w dniu 11 grudnia 1922 r. Był członkiem św. Kongregacyj Sakramentów i Soborów, brał udział nadto w Najwyższym Trybunale Sygnatury Apostolskiej.

Miasto Watykańskie 2.10 Ojciec św. udzieli wczoraj posłuchania robotnikom którzy w czasie pobytu Papieża w Catel gandolfo zajęci byli odnawianiem jego apartamentów w Watykanie.

Dramat miłosny w zaroślach.

Zakochany młodzieniec zastrzelił narzeczoną i siebie.

Rejowiec, 3.10 (od wł. kor.) Niezwykle krwawa tragedja na tle nieporozumień miłosnych rozegrała się w lesie wpobliżu wsi Borowice.

Szczegóły jej są następujące.

Od dość dawna pomiędzy 23-letnim Włodzimierzem Koncewiczem, zamieszkałym na terenie stacji kolejowej w Rejowcu i 19-letnią Bochnerówną Czesławą mieszkanką wsi Pawłów istniała

nić wzajemnej sympatji,

która ze strony Koncewicza rychło przemieniła się w uczucie gorącej miłości.

Odległość miejsc w których młodzi zamieszkiwali sprawiała, że o ile przywiązanie i miłość ze strony Koncewicza wzrastały, o tyle ze strony Bochnerówny pozostało zaledwie uczucie sympatji. Mimo to pod wpływem próśb Bochnerówna została

narzeczoną Koncewicza.

Krytycznego dnia doszło do wiadomości Koncewicza, że jakoby narzeczona jego postanowiła z nim zerwać. Uzbroiwszy się w rewolwer, udał się do Pawłowa, celem wyjaśnienia sytuacji.

Po wstępnej rozmowie, która miała przebieg spokojny, narzeczeni udali się na przechadzkę w kierunku lasu.

Jaki był dalszy przebieg wycieczki pozostanie nazawsze tajemnicą. Kiedy nieobecność narzeczonych

zanadto się przewlekała,

udano się na poszukiwania.

W głębi zarośli poszukującym przed stawił się mrożący krew w żyłach widok.

Na kobiercu leśnym leżała w kałuży krwi Bochnerówna, obok niej dając słabe oznaki życia, leżał z raną postrzałową głowy z rewolwerem w dłoni jej narzeczony.

Koncewicza w stanie beznadziejnym, przewieziono do szpitala.

Zwłoki tragicznie zmarłej zabezpieczono do chwili przybycia władz lekarsko-sądowych.

Sowiety w poważnych trudnościach finansowych.

Rekwizycja biżuterji u wszystkich jubilerów

Przed generalną zwyżką cen.

PARYŻ, 3.10 Agencja Havasa zamieszcza wysoce charakterystyczną depeszę, datowaną z Rygi, o stosunkach w Sowietach. Przyjezdni z Moskwy oświadczają, że Związek Sowiecki znajduje się obecnie w poważnych trudnościach finansowych. W ciągu września agenci rządowi dokonali we wszystkich magazynach jubilerskich

rekwizycyj biżuterji,

drogocennych kamieni i t. p., z drugiej strony rząd sowiecki przygotowuje gruntowną reformę handlu wewnętrznego. Sklepy, sprzedające dotychczas za ruble złote, jak „Torgsin", mają

zniknąć z powierzchni.

Pozostanie tylko jeden typ sklepów detalicznych, w których ceny będą zunifikowane na podstawie rubla papierowego, po kursie znacznie wyższym od dotychczasowego. — Ma być zniesiona różnica parytetu między rublem złotym a papierowym przez zastosowanie kursu pośredniego. Reforma ta zmierza do stabilizacji, a raczej do rewaloryzacji rubla papierowego, co da możność uregulowania wszystkich cen według skali znacznie wyższej, niż obecnie. Biorąc pod uwagę, że cała władza w Sowietach jest scentralizowana w ręku państwa, przypuszczają, że wejście w życie podobnej reformy odbędzie się szybko. Niemniej pierwszym rezultatem podobnej reformy będzie to, że sytuacja ludu, a w szczególności proletarjatu wiejskiego, stanie się

bardziej niepewna.

Z tych informacyj wynika, że rząd zaczyna odczuwać trudności w finansowaniu planu pięcioletniego.

Jednym z dowodów tego mogą być ostatnie decyzje rady komisarzy ludowych, ustanawiające

kontrolę

nad wszelkiemi projektami dalszej rozbudowy, popełniono bowiem szereg nadużyć i błędów. Trudności finansowe i skarbowe zmniejszyły do ostateczności import i wywołały pragnienie ustabilizowania pieniądza. Wszystko to pozostaje w ścisłym ze sobą związku. W miastach sowieckich widzi się ograniczenie kredytów na rozbudowę przedsiębiorstw, a także pewnego rodzaju rozrzedzenia rubla papierowego w życiu codziennem. Wartość rubla papierowego, która sięgała w pewnych okresach do 40 proc. rubla złotego zmniejszyła się ostatnio do 20 proc.

Przewiduje się— oświadcza dalej agencja— że powyższe informacje, które są rezultatem obserwacyj i badań, zostaną potwierdzone przez fakty w ciągu najbliższych tybodni i miesięcy.

Mgła przyczyną katastrofy.

Zderzenie dwu pociągów pośpiesznych pod Krakowem

10 zabitych, 20 rannych.

KRAKÓW, 3.10 (PAT) Dziś około godz. 8-ej nastąpiła koło Krzeszowic katastrofa kolejowa. Pociąg pośpieszny Nr. 107, idący z Zebrzydowic, najechał

na pociąg pośpieszny Nr. 7,

idący z Gdyni. Katastrofa nastąpiła spowodu silnej mgły. Dotychczas nieustalono ilości ofiar. Podobno jest trzech zabitych i dziesięciu rannych. Na miejsce katastrofy wyjechała natychmiast komisja krakowskiej dyrekcji kolejowej z dyr. Wołkanowskim.

Szczegółowy opis na str. 1-szej

WARSZAWA, 3.10 (pat) Jak się dowiadujemy w katastrofie kolejowej pod Krzeszowicami zabitych zostało 10 osób a 20 odniosło ciężkie rany.

LISTA ZABITYCH I RANNYCH.

CHRZANÓW, 3.10. Wskutek katastrofy, kolejowej pod Krzeszowicami 2 wagony zostały zmiażdżone. Spośród zabitych zdołano ustalić nazwiska tylko dwóch osób t. j. Knyszewskiego Teodora i Jana Barana.

Nazwiska rannych osób: Wachowiak Tadeusz, posterunkowy z Tarnopola. Litwin Stefan ze Stanisławowa (ranny w głowę), Herbert Wilhelm ze Lwowa. kierownik ambulansu pocztowego, Marja Baran ze Lwowa, Szwed Władysław major z Poznania, (ranny w głowę), Nankom Adam z Mysłowic (ranny ciężko w prawą nogę), Czech Jan, kapral z Gdyni (obie nogi złamane), Pater Leopold z Krakowa, Zeiber Winconty (prawa noga złamana), Agata Piłatówna, nauczycielka z Poznania Erna Herbst z m. Gdańska (ciężko ranna, będące z nią niemowlę wyszło bez szwanku), magister Gostkowski z Torunia, urzędnik P.K.P. z żoną i dwojgiem dzieci. Robaczewska Gertruda, z Rybnika, Klwiańska Gertruda, Łukański z żoną z Krakowa (ogólne ciężkie potłuczenie).

Zabitych umieszczono w zaplombowanej kostnicy w Krzeszowicach. W spiętrzonych wagonach znajduje się trzech zabitych, których nie można narazie wydobyć. Na miejscu katastrofy są obecni przedstawiciele władz. Nad miejscem katastrofy krążą samolot.

Złodziej - akrobata

uciekł ścigającym go wywiadowcom.

Z Wilna donoszą: Przed kilku dniami dokonano większej kradzieży mieszkaniowej Złodzieje przy pomocy włamania przedostali się do mieszkania Konstantego Kuźmy przy ulicy Zawalnej 24 i po splondrowaniu całego mieszkania wykradli stamtąd rozmaite rzeczy na ogólną sumę — 1200 zł.

W wyniku przeprowadzonego dochodzenia policja stwierdziła, że w szajce, która dokonała tej kradzieży

był jakiś żołnierz.

Prowadząc w tym kierunku dalsze dochodzenie policja ustaliła również sprawcę kradzieży. Okazał się nim zawodowy złodziej Jan Jakuszczenko odbywający ostatnio ćwiczenia wojskowe. Mając w ten sposób zapewnione alibi, Jakuszczenko wraz ze swoją kochanką Lisowską zamieszkałą przy zaułku Nikodemskim 10 oraz jeszcze jednym złodziejem dokonali szeregu kradzieży z mieszkania Kuźmy.

Wobec tego policja wtargnęła nagle do mieszkania Kuźmy, stanowiącego ostatnio kryjówkę Jakuszczenki i członków jego szajki. Jakuszczenko i Lisowską

aresztowano.

Trzeci w pokoju złodziej na widok wkraczających wywiadowców wskoczył na parapet okna, wybił szybę i stamtąd ryzykownym skokiem trafił na dach pobliskiej kamienicy. Wywiadowcy rozpoczęli za uciekającym pościg. Tymczasem złodziej z odwagą bohatera filmowego, ryzykując życiem, skakał z jednego dachu na drugi z taką zręcznością, że mimo trwającego pościgu i mimo oddania przez prześladujących go wywiadowców kilku strzałów na postrach.

zdołał zbiec.

W czasie rewizji w mieszkaniu kochanki złodzieja Jakuszczenki znaleziono znaczną część rzeczy pochodzących z kradzieży w mieszkaniu Kuźmy.

Jakuszczenkę wraz z kochanką osadzono w areszcie centralnym.

Dezerter-bandyta napadł na handlarzy.

Policja i żandarmerja ścigają zabójcę dwu ludzi.

Z Rzeszowa donoszą: Stanisław Sroka z Brzóy Królewskiej koło Łańcuta pałając zemstą do Antoniego Smutrowskiego i Antoniego Grabarza, zbiegł z 5 pułku strzelców podhalańskich w Przemyślu, zabierając ze sobą drugiego żołnierza, Józefa Pałasza ze Złotej (pow. Pińczów). Obydwaj uzbrojeni w zabrane z pułku karabiny i amunicję, zjawili się w Brzóżie, gdzie Sroka zastrzelił obydwu przeciwników.

Pałasza ujęto, a Sroka zbiegł i ukrywa się mimo energicznego pościgu w okolicznych lasach. Nie mając z czego żyć, zaczyna dokonywać śmiałych rabunków z bronią w ręku stając się

postrachem ludności.

Usiłował on włamać się do domu Samuela Turna w Julinie koło Łańcuta, grożąc napadniętym krótko uciętym karabinem.

Turnowie narobili krzyku i Sroka w obawie przed nadbiegającą pomocą, ucieki oddając dla postrachu strzał z karabinu.

Wczoraj o godz. 14,45 napadł na furmankę, wiozącą 5 ludzi, na drodze z Brzózy do Sokołowa. Furmanką wracali z targu z Sokołowa Abraham Krzeszower, Leib i Hersz Braudowie i Wolf i Pinkas Wachsowie. Sroka wyskoczył z rowu,

wystrzelił do jadących z karabinu

lecz nie trafił na szczęście nikogo, poczem zrewidował oniemiałych ze strachu kupców, zabierając im wszystkie posiadane pieniądze. Po dokonaniu rabunku zbiegł w las.

W odległości około półtora kilometra znajdował się patrol żandarmerji, która bez ustanie ściga Srokę. Uwiadomieni przez napadniętych o rabunku żandarmi, puścili się natychmiast śladem Sroki, nie mogli go jednak ująć, gdyż lasy w tej okolicy są tak gęsto poszyte, że uniemożliwiają

wszelki pościg.

Pomimo ogromnych trudności terenowych policja nie ustaje w swoich usiłowaniach, chcąc jaknajprędzej unieszkodliwić bandytę i niedopuścić do tragiczniejszych wypadków.

Celny strzał do złodzieja.

Nieudane włamanie do wozu meblowego.

LWÓW. 3.10 O godz. 4 rano zauważył patrolujący posterunkowy Chorasz z I. komisarjatu na ul. Obertyńskiej 3-ch osobników, którzy usiłowali włamać się do wozu meblowego, stojącego na tej ulicy. Złodzieje na widok, przedstawiciela władzy rzucili się do ucieczki. Post. Chorasz począł ich ścigać, wołając: „stać, bo strzelam!" Kiedy wezwanie to nie pomogło, posterunkowy dał jeden strzał w powietrze, a następnie drugi w kierunku uciekających. Strzał był celny, gdyż jeden z uciekających zachwiał się, a następnie upadł. Posterunkowy przybiegł mu z pomocą. Postrzelony obficie broczył krwią. Został bowiem trafiony kulą w głowę. Wezwano pogotowie, które rannego przewiozło do szpitala. W drodze jednak złodziej zmarł. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów i dlatego nie można było ustalić jego tożsamości. Towarzysze zabitego uciekli. Dalsze dochodzenie w tej sprawie w toku.

Granatem w okno

Dzika zemsta w Chorzowie

W ub. niedzielę w nocy około godz. 2-giej nieznany dotychczas sprawca wrzucił przez okno do mieszkania Muca Filipa w Chorzowie I przy ul. Rejtana 2 — granat ręczny, który wpadł do pokoju sypialnego na łóżko.

Z uwagi na to, że granat nie był zaopatrzony w zapalnik, skutkiem tego też nie eksplodował i prócz wybicia szyby w oknie nie wyrządził żadnej innej szkody.

Silnie podejrzany o dokonanie tego czynu jest Kiltyka Hugon z Chorzowa, ul. Krzyżowa 5, który z rodziną Muców żyje w niezgodzie i czynu dopuścił się ze zemsty.

—0—

Oszust czekowy

grasuje na Śląsku

Do firmy Baender przy ul. 3-go Maja w Katowicach przyszedł onegdaj nieznany mężczyzna w tow. kobiety i zakupił towaru za 240 zł. W czasie zapłaty okazało się, że mężczyzna nie posiadał gotówki i wówczas wyjął on książkę czekową i oddał urzędniczce tej firmy czek nr. 0151016 płatny w dniu 3-go b. m. w Banku Gospodarstwa Krajowego w Katowicach.

W dniu płatności urzędniczka firmy Baender Laszyca Marja, chcąc czek zainkasować przekonała się, że ten nie ma żadnego pokrycia.

Czek był podpisany przez niejakiego Berga Zygfryda z Katowic, ul. Mikołowska 89. W biurze ewidencji ruchu ludności stwierdzono, że pod wspomnianym adresem zamieszkiwał Berg Zygfryd, który jednak wyprowadził się w niewiadomym kierunku. W ten sam sposób poszkodowano również firmę Grynblat z Katowic na około 120 zł.

Proces mordercy Hartmanna

Sąd apelacyjny zniżył karę na 9 lat więzienia

Na wokandzie Sądu Apelacyjnego w Katowicach znalazła się wczoraj sensacyjna rozprawa sądowa przeciwko mordercy Rudolfowi Hartmannowi z Wełnowca, który w bestjalski sposób zasztyletował swą narzeczoną Rozalję Smykałównę z Siemianowic. Dla orjentacji podajemy pokrótce przebieg zbrodni, jakiej dopuścił się oskarżony. W dniu 30 marca ub. r. pracujący na dzikich szybikach w Wełnowcu bezrobotni znaleźli pod grubą warstwą węgla szkielet ludzki.

Zawiadomione o tem odkryciu władze bezpieczeństwa ustaliły, że są to szczątki Rozalji Smykałównej, która zaginęła w tajemniczych okolicznościach 1 lipca 1932. Oględziny zwłok ustaliły, że Smykałówna została zamordowana. Podejrzenie padło na oskarżonego Hartmanna, który uchodził za narzeczonego Smykałównej. Aresztowano go i w czasie śledztwa stwierdzono, że Hartmanna łączyły z Smykałówną bardzo intymne stosunki i ostatnio zaszła ona w ciążę.

Krytycznego dnia umówił się z narzeczoną do cyrku. Zamiast jednak do cyrku zwabił ją na teren biedaszybów pod Wełnowcem, gdzie spędził z nią kilka godzin. W pewnej chwili w toku rozmowy dobył ukryty sztylet i zadał dziewczynie w piersi siedem ciosów. Po dokonaniu tej zbrodni Hartmann zawlókł trupa za rękę do bieda-szybu i rzucił w otchłań. Następnie przez kilka dni przychodził na miejsce zbrodni i przykrył zwłoki stosem kamieni, zaś otwór szybu zasypał. Pozostałe na polu trzewiki, pończochy i podwiązki, zakopał na dzikiej hałdzie.

Sprawą tą zajmował się już raz Sąd Okręgowy w Katowicach. Oskarżonego skazano w wyniku rozprawy sądowej na 12 lat więzienia.

Po odczytaniu aktu oskarżenia przystąpił sąd do przesłuchania oskarżonego. Tłumaczył on się, że dowiedział się, iż Smykałówna była już karana za kradzież i przebywa często w towarzystwie różnych mężczyzn. Gdy więc Smykałówna powiedziała mu, że czuje się matką, zaprzeczył by on był ojcem tego dziecka. W odpowiedzi na to Smykałówna groziła mu, że obleje go kwasem solnym. Sztylet, tłumaczył oskarżony, nosił zawsze przy sobie, gdyż kilkakrotnie był napadnięty przez jakichś sprawców, których namówiła do tego Smykałówna.

Mimo usilnego wypytywania tak przez obrońcę, jak i prokuratora, oskarżony stanowczo twierdzi, że nie pamięta, co się w krytycznym czasie stało.

Po przesłuchaniu oskarżonego zeznawali znawcy lekarze dr. Wiedlocha i dr. Bibrowicz, którzy stwierdzili, że w czasie popełnienia zbrodni oskarżony nie znajdował się w afekcie patologicznym, jak to w swoich zeznaniach zamierza przedstawić, albowiem stan taki może zaistnieć tylko na kilka minut. Hartmann natomiast do wykonania zbrodni i usunięcia zwłok śp. mykałównej potrzebował klka godzin. Wobec tego znawcy są zdania, że Hartmann ilustrując zbrodnię przed sądem świadomie kłamie.

Krytycznego dnia spotkał się z nią przypadkowo. Ona zaproponowała przechadzkę. Gdy znaleźli się na terenach dzikich szybików usiedli na trawie. Koło Hartmanna usiadła Smykałówna. W pewnej chwili dobyła ona butelkę z kwasem solnym. Gdy zauważył że Smykałówna zamierza go oblać kwasem wydobył sztylet, a co się stało dalej nie pamięta.

Następnie zabrał głos prokurator dr. Nowotny, który domagał się zatwierdzenia wyroku pierwszej instancji. Obrońca oskarżonego adwokat Czodrowski w swem przemówieniu prosił sąd o przyznanie oskarżonemu okoliczności łagodzących, mianowicie uznania oskarżonego winnym morderstwa popełnionego pod wpływem silnego wzruszenia, jak to w analogicznej sprawie uczynił Sąd Okręgowy w Krakowie w głośnej sprawie Gorgonowej.

Po dłuższych naradach sąd przychylił się do wywodów adwokata Czodrowskiego i zniżył oskarżonemu karę na 9 lat więzienia.

—o—

Smierć 7-letniego chłopca

pod kołami samochodu

Wczoraj przedpołudniem około godz. 10-tej na skręcie szosy obok dworu w Zawiści samochód osobowy Śl. 3303 kierowany przez Szoenguta Waltera z Katowic najechał 7-mio letniego ucznia szkolnego Sola Joachima z Zawiści, który doznał poważnych obrażeń ciała.

W stanie nieprzytomnym przewieziono go do szpitala, jednak w drodze zmarł.

Zwłoki złożono w szpitalu Sp. Brackiej w Orzeszu do dyspozycji komisji sądowo-lekarskiej.

Kierowcę samochodu przytrzymano do przeprowadzenia dalszych dochodzeń.

Początkowe dochodzenia wykazały, że najechany Sol szedł szosą po lewej stronie i przed nadjeżdżającym samochodem, który jednak nie dawał żadnych znaków ostrzegawczych chciał przebiec na drugą stronę jezdni, przyczem wpadł pod koła.

Fatalna przygoda poznanianki w Chorzowie

Oszust matrymonjalny pozbawił ją oszczędności

W Poznaniu zapałało wielką ku sobie miłością dwoje osób: służąca 28-letnia Jadwiga Koproskówna (Górna Wilda 102) oraz Jan Parankiewicz, który był wielce czułym narzeczonym.

Szewska jego miłość tak zawróciła głowę nadobnej Jadwidze, że przyjechała z nim do Chorzowa, gdzie mieli się pobrać oraz założyć warsztat szewski.

Po przybyciu do Chorzowa czuły narzeczony wpadł na pomysł, że przecież może mieć pieniądze bez narzeczonej, która niewątpliwie już mu się znudziła.

Podstępnie zatem od uczciwej a oszczędnej dziewczyny wziął 1000 zł. i jak poszedł „na chwilkę“ po papierosy, tak dotychczas nie wraca, mimo wszelkich poszukiwań policji.

Z 2-go piętra na bruk

po cienkim szpagacie

Upośledzona na umyśle 65-letnia Zofja Michalska, zam. w Katowicach przy ul. Mikołowskiej 24, przywiązała onegdaj do okna cienki sznurek, po którym zamierzała opuścić się na podwórze z drugiego piętra.

Oczywiście nastąpiła katastrofa.

Michalska upadła na kamienie, łamiąc nogi oraz ręce oraz doznając szereg obrażeń wewnętrznych.

Zmarła jeszcze przed przybyciem pogotowia ratunkowego, które zwłoki przewiozło do szpitala.

Podobnie przykry wypadek śmierci miał miejsce w Zawodziu w poczekalni doktora Kalinowskiego. W następstwie nagłego ataku zmarł tam na serce przybyły o poradę chory.

Ferrum redukuje

Dyrekcja Spółki Akcyjnej Ferrum w Zawodziu wypowiedziała w tych dniach stosunek służbowy 25 urzędnikom z terminem na dzień 1 stycznia 1935 r.

Zwolnienie tych urzędników prawdopodobnie nie dojdzie do skutku, albowiem obecnie toczą się pertraktacje wsprawie zfinalizowania dwuch większych zamówień do Hiszpanji i do Meksyka dla tej huty.

—o—

Napad rabunkowy

dokonany przez chłopca

Do powracającego do domu z zakupinoemi dla ojca papierosami ucznia Gerharda Potoli, podbiegł jakiś chłopiec lat 12 czy 13 i po zamroczeniu Potoli uderzeniem wyrwał trzymaną w ręku portmonetkę, którą porwał z zawartością 23 zł. i zbiegł w nieznanym kierunku.

Wprawdzie Potola twierdzi, że sprawcą jest jeden z jego znajomych, jednak dokonana konfrontacja nie pozwoliła ustalić winy podejrzanego. W każdym razie jest to wypadek charakterystyczny, świadczący o prądach, jakiemi w następstwie szalejącej nędzy przepaja się tutejsza młodzież.

—o—

Fałszywa moneta

wydana w składzie „Geka“

W składzie jednolitych cen „Geka“ w Lipinach podczas zakupów wydano Jadwidze Piekarskiej z Goduli (Barbary 3) fałszywą 10-złotówkę.

Jest ona obecnie przedmiotem śledztwa policji, w jaki to sposób w szanującym się sklepie nie zauważono prymitywnie fałszowanego pieniądza.

Czy przypadkowo świadomie nie zamierzano go puścić w obieg?

—o—

Awanturniczy opój

poskromiony pałką

W Czarnym Lesie zalał sobie porządnie pałę Roman Korus (Kazimierza 6), który mimo braterskich uwag wyrozumiałego posterunkowego swemi hałasami napełniał całą wioskę.

Wreszcie, zdenerwowany morałami posterunkowego, zamierzał podjąć z nim bójkę.

Wyprzedziła jednak jego ruchy pałka gumowa, cudowny środek przeciw niespokojnym alkoholikom. Ponadto jeszcze osadzono go w areszcie.

Taki to miły picia koniec.

Skutki burzy

W następstwie burzy, jaka onegdaj przeciągnęła nad Katowicami, zostało zalanych wodą szereg ulic, a nawet w piwnice domów na pl. Szczepana w Bogucicach. W Katowicach były zalane ulice tunel na Mikołowskiej, Zamkowa i Moniuszki, gdzie straż pożarna musiała odprowadzać wodę do kanałów.

Podobnie skutkiem burzy było zalanych szereg piwnic w Mysłowicach, Świętochłowicach, Chorzowie i i.. miejscowościach. Straże pożarne miały tej nocy dużo pracy.

—o—

Repertuar teatru

Środa, dnia 3. 10.: *„Koncert Konserw. Muz.“* o godz. 20-tej.

Czwartek, dnia 4. 10.: *„Koryolan“* premjera o godz. 20-tej.

Sobota, dnia 6. 10: *„Koryolan“* dla szkół o godzinie 15.30.

Sobota, dnia 6. 10: *„Zwyciężyłem kryzys“* o godzinie 20-tej.

RADJO

KATOWICE — Środa, 3 października.

6.45 — 8.00 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu, hejnał oraz wiadomości meteorologiczne 12.10 Koncert salonowy 13.05 Muzyka (płyty) 15.30 Wiadomości gospodarcze 16.00 Muzyka (płyty) 16.45 Słuchowisko dla dzieci 17.00 Koncert chóru Cecyljańskiego 17.25 Pogadanka dla kobiet 17.35 Recital śpiewaczy 17.50 Poradnik sportowy 18.00 „Gospodyni śląska“ 18.15 Koncert kameralny 18.45 Odczyt 19.00 Koncert orkiestry mandolinistów 19.20 Pogadanka 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Wieczór Mickiewiczowski 20.55 „Jak pracujemy w Polsce“ 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 Fragment literacki 21.40 Recital śpiewaczy 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka taneczna 23.05 Skrzynka pocztowa w języku francuskim.

Smutne dziedzictwo.

Musimy wkroczyć na nową drogę!

Jedyny sposób

Na czele rządów naszych miast i gmin stają lub staną niezadługo nowi włodarze: nowi prezydenci, burmisrze, wójtowie. Mają oni wszyscy zadanie skierowania gospodarki naszego samorządu terytorjalnego na nowe tory: usunięcia przerostów minionego okresu, a oparcia swego działania o zdrowe podwaliny gospodarcze.

Jednak wszyscy niemal muszą się natknąć na smutne dziedzictwo: na niepomierne przebujałe zadłużenie, a kolumny cyfr, pięknie spisanych w księgach buchalteryjnych po stronie pasywów, na gniotące miasta i gminy — długi

Mniejsza o to w tej chwili, jak te długi powstały. Próżne to byłyby obecnie reklamacje... Faktem jednak jest, że długi są — i to wręcz olbrzymie: zadłużenie samorządu w Polsce wynosi przeszło 1.300.000.000 złotych! Miljard — długoterminowe długi, 300 miljonów krótkoterminowe...

Oczywiście są one rozłożone nierównomierne. Są gminy miejskie i wiejskie o małem, możliwem do zdzerżenia zadłużniu: są takie, które — by użyć popularnego określenia — zadłużyły się „po uszy", nie mogą zupełnie sprostać swym zobowiązaniom, ani spłacić rat ani odsetek; muszą się „ratować"... nowemi długami, a tem samem pogrążać się w coraz większe opresje.

Jaka jest przeważnie geneza tych długów? Były lata "prosperity", miasto rozporządzało wielkiemi dochodami, więc liczyło, że zaciągając dług na cele inwestycyjne — np. budowlane — z dochodów łatwo i dług i odsetki pospłaca Ale potem przyszły czasy gorsze, dochody poczęły się zmniejszać, wpływy do kasy gminnej stawać coraz niklejsze... Wiemy z ogólnej statystyki, jak się to w cyfrach przedstawia: na przestrzeni ostatnich 5-ciu lat wpływ z podatków zwyczajnych zmalał o 30 proc., z podatków nadzwyczajnych nawet o 40 proc.

W tej sytuacji przyszło sięgnąć do... redukcji wydatków. Było to oczywiście główne remedium. Również znamy cyfry odnośne: gdy w r. 1930 wydatki zwyczajne terytorjalnego samorządu w całym kraju wynosiły 769 miljonów, to w roku bież. spadły do 596... Bardziej jeszcze wydatki nadzwyczajne: 91 milj. do 82...

Ale to skurczenie się wydatków musi mieć swą granicę, jeśli się nie ma zemścić na sprawności i najniezbędniejszej pracy samorządu. Można oszczędzać — i to bezwzględnie trzeba na różnych zbytkach, na niekoniecznych wydatkach, zahamować kompletnie owo rozrzutnictwo, które dawniej tak zaciążyło na naszej autonomji terytorjalnej. Ale nie sposób gilotynować tych dziedzin pracy. które są niezbędne, nie wolno cofać rozwoju kulturalnego i społecznego naszych gmin wiejskich, naszych miasteczek i miast. Szkolnictwo czy opieka społeczna, czy ośrodki komunikacyjne nie mogą ucierpieć. Można budować szkoły mniej luksusowe — ale zaprzestać ich budowy nie wolno. Można ograniczyć budowę asfaltowych gościńców — ale zaprzestać konserwowania istniejących dróg nie wolno! Można wprowadzić oszczędności w dziedzinie opieki higjenicznej — ale skasować jej nie wolno!

Cóż więc musi być zrobione, aby to olbrzymie zadłużenie, z jakiem spotka się niemal każdy nowy włodarz gminy nie unicestwiać zgóry jego dobrej woli i energji Na to, by poszedł na drogę rozbudowy aparatu fiskalnego, zwiększenia świadczeń ludności, obciążenia jej nowemi podatkami samorządowemi — czasy są zupełnie niesposobne. Nie osiągnąłby zaprawdę celu, a wywołał skutek wręcz odwrotny: pod ciężarem zwiększonych świadczeń na cele samorządowe mieszkańcy przestaliby wogóle płacić...

Jest więc inna droga i inne wyjście: oddłużenie samorządu przez rozłożenie rat amortyzacyjnych na dłuższe. niż dotychczas terminy i przez obniżenie odsetek. Wtedy na „obsługę długu" gmina będzie miała do zebrania o wiele mniej i wtedy będzie mogła jakoś zrównoważyć swe uszczuplone dochody i wydatki.

Na tę drogę niewątpliwie wkroczymy. Będzie ona jednym z głównych motorów uzdrowienia naszego samorządu terytorjalnego i wyprowadzenia go z tej opresji, w jakiej się znalazł.

M.

W imię dobra sportu

Łódź demaskuje władze kolarstwa polskiego.

Kulisy matactw stołecznych macherów.

Łódź 3 pazdziernika (od wł. kor.)

Pod głośnym tytułem „Nowa burza w kolarstwie — **Separacyjne dążenie prowincji**" przyniosła sobotnia prasa stołeczna wywiad z prezesem PZTK. p. Romualdem Langem, który miał wyjaśnić „**podziemną robotę okręgowych związków kolarskich na Śląsku, w Łodzi i Poznaniu**". i wreszcie wiadomość, że na wniosek wiceprezesa p. Orłowskiego Zarząd PZTK. podał się do dymisji. Powodem ustąpienia miała być „sytuacja, w której PZTK. znalazł się wobec okręgów śląskiego, łódzkiego i poznańskiego, mających podobno **zorganizować oddzielny Związek w Łodzi.**

Zarząd PZTK. uważał, że taka skryta robota jest niedopuszczalna i o ile okręgi mają jakieś pretensje to winny jasno i publicznie wypowiedzieć się i w tym celu PZTK. zwołuje na dzień 11 listopada nadzwyczajne walne zgromadzenie".

Wywiad, notatka jak i komentarz stałecznej pracy nie mogą pozostać bez odpowiedzi ze strony Łodzi, **która dopiero z tego pisma warszawskiego dowiedziała się o rzekomo separacyjnych dążeniach prowincji, m. in. i okręgowego związku łódzkiego.** Najwidoczniej PZTK. został tu **wprowadzony w** błąd. że myśl zwołania nadzwyczajnego walnego zgromadzenia prowadzoną przez Śląsk—Łódź powitała zgodnie, albowiem niejedeno jej leży na sercu. to nie wolno tego nazywać „podziemną" wzgl. „skrytą robotą' Kto wie, czy inspirowany artykuł sobotni nie będzie jednak kamieniem węgielnem nowego PZTK., w każdym bądź razie jesteśmy upoważnieni do oświadczenia, **że o żadnych separacyjnych dążeniach prowincji nigdy, zaznaczamy, nigdy, w okręgu łódzkim nie dyskutowano.**

W stosunku do swej najwyższej magistratury była Łódź zawsze lojalną, dlatego też dziś, kiedy zarzucono nam kłam, odpowiadamy co myślimy o centralnym związku stołecznym.

„Że na wypogadzający się od czasu pozbycia się jednego szkodnika, Szymczyka, horyzont polskiego kolarstwa zaciągały ołowiane chmury i groziły nawałnicą, na to byliśmy przygotowani. Czarna chmura matactw stołecznych macherów kolarskich ciążyła nad pomyślnym rozwojem tego pięknego sportu w okręgach. PZTK. miał nprz. w okręgu łódzkim opokę, o którą się przez wiele lat opierał. Nie wiem czy jeszcze gdzieś, znajdziecie podobny komplet ludzi uczciwych, dobrej woli i owianych prawdziwym duchem sportowym jak w okręgu łódzkim. Jeżeli tym ludziom opadają już ręce ze współpracy z Centralą, to powody takiego, stanu rzeczy muszą być ważkie i nie bagatelizowane. Okręg łódzki ma niejedno do zarzucenia PZTK. — jest z Centrali w najwyższym stopniu niezadowolony, bo i jakże tu być zadowolonym, kiedy Warszawa dla sobie tylko znanych krętactw i kombinacyj uchyla bezpodstawnie słuszne uchwały Łodzi, a ostatnio przez usta swego prezesa łże w bezwstydny sposób. Tak! Łże i

Aby nie narazić się na gołosłowność, zilustrujemy działalność PZTK. na linji Warszawa—Łódź, następującymi kwiatuszkami:

Kamieniem niezgody między PZTK. a Ł. O.Z.K. była przed rokiem „sprawa Kalisza" O sprawę tę, o mały włos nie rozbiła się wogóle przyjaźń między Centralą a Filją.

Może ona nie jest znana kolegom stołecznym, przypomnimy ją w skondensowanej, formie. Kalisz terytorjalnie przydzielony jest do Łodzi, ale tamtejsze Towarzystwo Kolarskie do Związku nie należy, a zatem, zawodnicy tamtejsi jak i tor nie są w posiadaniu licencji. Jakież było zdziwienie w Łodzi, kiedy pewnego pięknego dnia dowiedziano się z pism, że w Kaliszu odbyły się zawody kolarskie pod nazwą „rewanż dla uczestników mistrzostw Polski", w których startowali kolarze warszawscy, łódzcy i kaliscy za wiedzą i zezwoleniem PZTK. z pominięciem miarodajnego w tej sprawie okręgowego związku kolarskiego z pogwałceniem regulaminu i statutu związku państwowego. Pogwałcenie kompetencji okręgu świadczy o anarchji, o rozluźnieniu wszelkich węzłów organizacyjnych w naszem kolarstwie, pomijając już sam fakt, że organizacja tych zawodów w Kaliszu jak i przebieg wskazywały na to. że kolidowały one z uczciwym przebiegiem. Zwycięstwo Koszutskiego nad Puszem w Kaliszu robiło wrażenie zgóry ukartowanych, dla większego, zresztą zrozumiałego zainteresowania rewanżem w Warszawie. Naturalnie, zainteresowani byli w tem macherzy warszawscy i im to jakoś uszło.

„Sprawa Kalisza" jest już przedawniona —powie ktoś, sięgniemy wobec tego do zupełnie świeżych noszących datę z ostatnich dni września br.

Podczas wyścigu o nagrodę Magistratu, m. Łodzi zdarzył się przykry wypadek. Jeden z zawodników, zdradzimy go nawet — mistrz okręgu, dopuścił się łobuzerskiego wykroczenia. W czasie wyścigu kopnął jednego ze współjadących i spowodował wysypkę nadjeżdżających. Za nieetetyczny niesportowy a kwalifikujący się jako przestępstwo już nawet nie sportowe, czyn — zawodnik ten został przez Związek Okręgowy ukarany względnie małą karą, gdyż dwumiesięczną dyskwalifikacją, do dnia 2-go, listopada. I słusznie okręg postąpił, od złych wpływów należy się separować. Co robi klub „bohaterskiego kolarza"? Wysyła delegację do Warszawy, która interwenjuje w PZTK. i na podstawie jednostronnego przedstawienia sprawy, bez zasiągnięcia opinji, władz okręgowych PZTK. „polecił dopuścić Wójcika do mistrzostw Polski naprzełaj". Jak to sobie wyobraża PZTK.? Na tem miejscu uznanie należy się władzom okręgu, które mimo interwencji PZTK stając w obronie czystego sportu, nie dopuścili Wójcika do niedzielnego wyścigu.

Jeszcze jeden kwiatuszek!

Jest uchwała PZTK, która mówi, że w dniu, w którym odbywają się mistrzostwa Polski nie może się odbyć w całym kraju żadna impreza kolarska. Tymczasem w niedzielę, kiedy w Łodzi odbywały się mistrzostwa Polski w crossie. PZTK. udziela zezwolenia klubowi warszawskiemu. Fort Bema na wyścig szosowy 125 klm. przez co impreza łódzka doznała poważnego uszczerbku. Nie przybyła spodziewana ilość kolarzy zamiejscowych. Mówili nam o tem w niedzielę delegaci klubów warszawskich. Nprz Amatorski KS. miał do Łodzi wysłać 10-ciu kolarzy, wobec jednakowoż jednocześnie rozgrywanych wyścigów podzielił ich i do Łodzi przyjechało tylko 5-ciu.

Tak PZTK. szanuje uchwały.

Jeszcze na chwilę powrócimy do wywiadu z prezesem p. Langem. Oświadczył on, że z Łodzi jesteśmy (PZTK.) „na pieńku, spowodu spraw finansowych w związku z biegiem Berlin—Warszawa". Nie poruszalibyśmy tej sprawy, gdyby nie poruszył jej właśnie p. prezes Lange.

Przedstawia się ona następująco: Na starcie ostatniego etapu wyścigu Berlin—Warszawa w Łodzi, wobec braku zestawienia kasowego PZTK. otrzymał 416 złotych z groszami, — jak wynikało z prowadzonego obliczenia. Po przykotowaniu zestawienia okazało się, że Centrali należy się ze sprzedaży programów (pełna suma) i 50 procent dochodu netto, mniej — bo 385 zł. z groszami. ŁOZK. wypłacił więc coś 30 złotych więcej. Kiedy PZTK. w przekonaniu, że należy mu się więcej niż otrzymał wezwał Łódź do przedłożenia zestawienia, po 24 godzinach, zjawili się w PZTK. w Warszawie pp. prezes Artur Thiele i skarbnik p. Zygmunt Krachulec. Zjawili się niefortunnie, gdyż ani kasjer ani jego zastępca ani nawet sekretarz — wogóle nikt z wyjątkiem prezesa PZTK. p. Langego tego dnia się nie pokazał (Łodzianie zostali wezwani do Warszawy) Kiedy delegacja łódzka chciała p. Langemu, zostawić zestawienie, ten odpowiedział: „nie jestem buchalterem, i nic mnie to nie obchodzi". Zestawienie zabrano spowrotem do Łodzi i dopiero na następnem posiedzeniu, Zarządu zostało przez p. Pękalskiego wiceprezesa ŁOZK. Centrali dostarczone. Tak się sprawa przedstawia.

Ale jeżeli już mówimy o sprawach finansowych, to pozwolimy sobie przypomnieć p. prezesowi Langemu, że:

a) Holenderski Związek Kolarski monituje 30 guldenów holenderskich i prosi o niezwłoczne przekazanie pod adresem „Nederlandsche Wielren—Unie—Haga".

b) Konsulat Rzplitej Polskiej w Lipsku zwraca uwagę, że jeżeli natychmiast nie otrzyma pożyczonej na wykup ekipy polskiej która startowała w mistrzostwach świata, sumy, to niekoniecznie będzie panu Konieczmemu wesoło. Adres konsulatu: Lipsk, ulica Plagwitzerstrasse 11.

Umundurowani sjoniści-trumpeldorczycy

ciężko pobili plutonowego.

LUBLIN, 3.10 Powiatowa komenda PW i WF w Horochowie przesłała do prasy następujący komunikat.

W ubiegłym tygodniu powracał bryczką z zajęć służbowych komendant powiatowy PW. i WF. powiatu horochowskiego por. Rychłowski z podoficerem zawodowym plutonowym Brzozowskim.

W czasie mijania miasteczka Świniuchy, zatrzymał ich znajomy kapitan emeryt P., z którym rozpoczęto rozmowę. Naokoło bryczki zebrała się gromada żydów, którzy na wezwanie por. Rychłowskiego, aby się odsunęli i rozeszli — zaczęli coś urągać i nie reagowali na wezwania. Podówczas plutonowy B. skoczył z bryczki i energicznie zażądał rozejścia się. Niespodziewanie został popchnięty a następnie uderzony kamieniem w głowę przez jednego młodego żyda ubranego w bronzową koszulę „rewizjonistów". Drugi żyd tak samo ubrany rzucił się na plutonowego, okładając go pałką drewnianą. uwiązaną na sznurku do ręki.

Ciężko pobitego, zakrwawionego ledwo udało się z rąk tłumu żydów wyrwać.

Na żądanie porucznika policja zatrzymała obydwu żydow, ale sędzia śledczy zwolnił winnych do sprawy przekazanej prokuratorowi.

Ucieczka rudowłosej Amerykanki.

Niecodzienna scena w kawiarni.

Niecodzienna historja poruszyła w ubiegłym tygodniu mieszkańców Montparnassu i bywalców jednej z kawiarni, którzy przypadkiem — zamienili się w psów policyjnych.

Prawie cały Montparnasse rzucił się

na poszukiwanie 19-letniej panny,

która uciekła spod opieki matki, wybierającej się wraz z nią do Ameryki. Miss Anna Morgate ze swoją matką przybyła niedawno do Paryża i osiedliła się w dzielnicy Montparnasse. Paryż, a w szczególności ta dzielnica bardzo przypadły do gustu młodej rudowłosej amerykańskiej ślicznotce, zdecydowanej ze względu na to odmówić towarzystwa matce w powrotnej podróży za ocean To też w dniu wyjazdu ekscentryczna Amerykanka kategorycznie oświadczyła, że pozostaje w Paryżu i będzie się kształcić w dziedzinie tańca. Mimo tego, że matka nie zgodziła się na to i już kupiła bilety na „Aquitanję", młoda Amerykanka uciekła z domu. Napróżno strwożona matka

szukała zaginionej córeczki....

Ponieważ zbliżała się godzina wyjazdu, starsza pani musiała się zwrócić o pomoc do policji, gdyż trans - atlantycki parowiec nie odkłada podróży nawet dla spóźnionych Amerykanek. Policja przedewszystkiem zwróciła uwagę na liczne kawiarnie w okolicy Montparnassu. Zjawienie się policji wywołało poruszenie wśród mieszkańców, którzy, słysząc o tem, co się dzieje, przyłączyli się do poszukiwaczy w charakterze ochotników Stara Amerykanka szlochając, opowiadała wszystkim o przymiotach zaginionej córki Najbardziej ją martwiło, że córeczka posiadała przy sobie tylko 300 franków. nie rozumiała ani słowa po francusku i nie ma znajomych w Paryżu. Wspólnemi siłami policji i miejscowych obywateli miss została znaleziona w pewnej kawiarni przy kieliszku konjaku. Nastąpiła wzruszająca a zarazem burzliwa scena między matką a córką Pod wpływem „opinji publicznej" młodociany zbieg zmienił swoje zamiary, zgadzając się na podróż do Ameryki pod warunkiem, że matka nie będzie jej czynić przeszkód i pozwoli w ojczyźnie zająć się poważnie sztuką taneczną.

J. K.

Waluty dewizy i akcje na giełdzie warszawskiej.

ZNIŻKA DEWIZY ANGIELSKIEJ.

Na zebraniu giełdy pieniężnej przeważał nastrój spokojny, utrzymany. Wyróżniły się dwie dewizy: Berlin i Londyn. Dewiza niemiecka zwyżkowała o 50 gr. na 100 mk. Londyn zaś stracił na 1 funcie 5 gr.

MAŁE OBROTY PAPIERAMI PAŃSTWOWEMI.

Dział papierów państwowych był bardzo mało ruchliwy.

PAPIERY PROCENTOWE.

Budowlana 46.60, Konwersyjna 68.25 Stabilizacyjna 75.25, 7% Banku Rolnego 83.25, 8% Banku Rolnego 94.00, 7% B. G. K. II em. 83.25, 8% B. G. K. I em. 94.00 7% Obl. B. G. K. II em. 83.25, 8% Obl B. G. K I em. 94.00, 4½% m. Warszawy 52.88, 5% m. Warszawy 71.25, 5% m. Warszawy 1933 r. 62.13, 6% m. Warszawy 1926 r. 61.00, 5% m. Łodzi 54.00

AKCJE — SŁABSZE.

Przedmiotem tranzakcyj oficjalnych były trzy gatunki akcyj.

Bank Polski 93.50, Cukier 26.75, Starachowice 12.65

GIEŁDA ZBOŻOWA.

WARSZAWA, 2. 10. Urzędowa cedula Giełdy Zbożowo - Towarowej kursy ustalone na podstawie cen giełdowych: Żyto I standart 17.00 — 17.50, pszenica jednolita 742 gl. stara i nowa 20.00 — 21.00

POZNAŃ, 2. 10. Urzędowa cedula Giełdy Zbożowo - Towarowej w Poznaniu. — Ceny tranzakcyjne: Żyto 17.75, owies 17.80 Ceny orjentacyjne: Żyto 17.50 — 17.75 pszenica 18.00 — 18.50, mąka żytnia I gat 0-55% 23.50 — 24.50, mąka razowa 0-95% 19.50 — 20.50, mąka pszenna I gat. iit. A 20% 33.0 0— 36.00

Kupiec zbożowy skoczył do jeziora.

Przeląkł się podatku w wysokości 2 miljonów franków.

W pobliżu Bavay, niedaleko od drogi do Quesnoy znajdują się wielkie kamieniołomy które były opuszczone od wybuchu wojny Z biegiem czasu kamieniołomy te zalała woda tak, że w miejscu tem utworzyło się olbrzymie, głębokie

na 30 metrów jezioro

W ostatnich czasach, właściciele tych zalanych kamieniołomów, postanowili osuszyć je i eksploatować w dalszym ciągu. W tym celu sprowadzili robotników i przystąpili do osuszania sztucznego jeziora. Od chwili rozpoczęcia prac, poziom wody w kamieniołomach obniżył się o 10 metrów. Onegdaj podczas pracy, robotnicy spostrzegli na powierzchni jeziora pływające zwłoki ludzkie. Zwłoki były w stanie zupełnego rozkładu i tylko dzięki szczegółom ubrania zdołano w nich rozpoznać

zaginionego przed 7 laty

kupca zbożowego Kamila Richard z Bavay O smutnem odkryciu zawiadomiono rodzinę Według opowiadań syna kupca, Kamil Richard znikł pewnego dnia z domu po otrzymaniu od urzędu skarbowego nakazu płatniczego na sumę 1 miljona 900 tys. fr. Rodzina zaginionego myślała. że Richard uciekł zagranicę. Znaleźli się nawet tacy, jak to zwykle w życiu bywa, co go widzieli, to tu to tam. Nawet przed dwoma tygodniami doniesiono rodzinie Richardów, że widziano kupca na giełdzie w Brukseli. Onegdajsze odkrycie położyło kres wszelkim wątpliwościom. Kamil Richard popełnił samobójstwo gdyż zapłacenie tak olbrzymiej sumy urzędowi skarbowemu,

byłoby go zrujnowało

Rodzina nieszczęśliwego kupca nie może odżałować jego desperackiego kroku, zwłaszcza, że władze skarbowe obniżyły stopniowo wymiar podatku na 60 tys., sumę którą Richard mógł był z łatwością zapłacić.

Rezultaty śledztwa w sprawie pożaru Morro-Castle.

Orgja pijaństwa

poprzedziła haniebną katastrofę.

Nowy York we wrześniu

Wiadomość o pożarze okrętu „Morro Castle, jaka przed paru tygodniami ukazała się w prasie, na chwilę poruszyła ogół i szybko ustąpiła innym wiadomościom bieżącej doby. Jednakże wypadek tego rodzaju ze względu na rozmiar katastrofy, fakt śmierci kapitana statku w przeddzień wypadku i liczne pogłoski, zasługuje na bliższą uwagę.

„Morro-Castle" był wspaniałym okrętem, pojemności 11,550 tonn, zbudowany przed czterema laty, stanowiący chlubę kompanji Ward. Konstruktor statku rzekomo przewidział wszelkie katastrofy a w szczególności klęskę pożaru. Istniały zatem: udoskonalony sytem ostrzegawczy, hydranty, rozmieszczone wszędzie, patentowane gaśniki, ogniotrwałe ściany, metalowe przegrody ruchome, w potrzebie izolujące poszczególne części statku.

Ale „Morro-Castle" spłonął. W mroku nocy, na burzliwem morzu, przy wtórze gromu i piorunów, zapłonął, jak pochodnia, a dreszcz grozy przeszedł świat cały, gdy czytano, że zgórą 150 osób zginęło w ogniu morza.

Morro-Castle wiózł 520 ludzi, pomiędzy nimi 320 pasażerów— mężczyzn, kobiety i dzieci, żądących na wycieczkę morską. Podobno wśród pięciuset wycieczek, jakie tego roku opuściły podczas lata Nowy-York, żadna przy wyjeździe z portu nie była tak wesoła, jak wycieczka na Morro- Castle. Trasa jej prowadziła na zachodzie wzdłuż wybrzeży Wirginji, obu Karolin, z zatrzymaniem się w Charleston i Savannah, następnie wzdłuż wybrzeży Florydy, z ich palmami i słońcem ,licznych wysp Bahama podobnych do szmaragdów, rozrzuconych na zwierciadle wód. A wkońcu podróży— Hawana— olśnienie, noce pełne żaru i upojenia, dostarczające według upodobania pobytu w spelunkach, lub rozmarzenia wśród tańca. Była to wycieczka wymarzonego typu, podobna do tych, na jaką wybierano się w okresie prohibicji, by poza granicami Ameryki użyć alkoholu dosyta. Obecnie zaś, przy panującym na statku komforcie delektowano się pięć razy na dzień solidną, słodką i pikantną kuchnią Nowej Anglji. Anglji.

wśród zabaw bez końca.

Załoga złożona z 240 ludzi, rekrutowała się z Amerykanów i Kubańczyków pośledniejszego rodzaju, w dodatku źle płatnych przez towarzystwo Ward, naogół źle notowane u marynarzy.

„Morro- Castle" miał wrócić do N. Yorku w sobotę. W piątek popsuła się pogoda, co nie zwróciło niczyjej uwagi, ponieważ wieczora tego obchodzono uroczyście koniec wycieczki. Wszyscy na okręcie byli przynajmniej „pod dobrą datą". Co do kapitana Willmotta zastano go martwego, pochylonego nad wanną. Główny lekarz okrętowy, który następnie zginął podczas katastrofy, jako przyczynę zgonu kapitana podał „ostrą niestrawność". Skądinąd wiadomo, że sześć młodych pań trzeba było odnieść do ich kabin w stanie

ostatecznego pijaństwa.

Gdy sygnalizowano pożar o trzeciej nad ranem (jeżeli sygnalizowano go wogóle, co jest bardzo wątpliwe) większość pasażerów obudziła się tylko z trudnością. I wówczas okazało się, że głośne sygnały nie działały wcale, hydranty były wyczerpane, gaśniki nie funkcjonowały, ogniotrwałe ściany nie dowiodły swej odporności na ogień, a ruchome metalowe przegrody nie dały się ruszyć z miejsca.

Młodszy oficer, Warms, który po zgonie kap. Willmotta objął komendę nad statkiem, rozkazał sygnalizować pożar zapomocą

„uderzania w rondle"

ale załoga miała co innego do roboty. bowiem ogień szerzył się gwałtownie. Skąd się wziął, gdyż z pewnością nie spadł z nieba, jest dotąd rzeczą niewyjaśnioną. Najprawdopodobniej powstał z podpalenia, ze sfery malkontentów. Na skutek depeszy nowojorskiej poszukuje się w Liverpoolu tajemniczych wykonawców sabotażu, a w Hawanie zwraca uwagę kompromitująca radość sfer komunistycznych.

Jak twierdzi— zresztą — naoczny świadek, ogień wybuchł w jednej z szaf bibljoteki okrętowej, która spłonęła niemal w „okamgnieniu, jakgdyby była z celuloidu".

Gdy wreszcie przyszło do ratowania ludzi, przedewszystkiem ratowała się część załogi, a co do pomocy innych okrętów, przyszła z opóźnieniem, naskutek wadliwości radja. Aby zrozumieć, lub odgadnąć, wiele rzeczy, trzeba śledzić podwójne dochodzenie, wszczęte przez ministerstwo handlu w Ameryce i władze sądowe .

Naprzeciwko Ashbury Park niedługo po wypadku umieszczono sprowadzone szczątki „Morro-Castle" — gigantyczny szkielet ze sczerniałej stali. W Ashbury również w dniu katastrofy wylądowały łodzie ratownicze. Na jednej z nich, obliczonej na pięćdziesiąt osób, znajdowało się trzydziestu ludzi załogi i dwu pasażerów: na drugiej—dziesięciu pasażerów siedmiu marynarzy, na trzeciej wreszcie pomimo jednakowej pojemności z poprzedniemi) tylko czterech marynarzy — dwóch Japończyków i dwóch Kubańczyków. Wszyscy przebyli przestrzeń wodną, usianą rozbitkami, walczącymi z falą, bez przyjęcia kogokolwiek do swych łodzi. Przypływ wyrzucał na brzeg rozbitków, którzy spędzili po osiem godzin w wodzie— w pośpiechu otwierano im szpitale. Straż morska twierdzi, że był to epizod najpodlejszy i najbardziej odrażający w historji nawigacji amerykańskiej. Prokurator Conboy, któremu powierzone zostało śledztwo, natychmiast po przyholowaniu tlejącego jeszcze kadłuba okrętu, wszedł nań, lecz ku swemu zdziwieniu przekonał się, że

wyprzedzili go już adwokaci.

kompanji Ward, a oficerom zamknięto usta.

W wielkiej sali komory celnej N. Jorku, szarej i wilgotnej, z opadającym miejscami tynkiem, przeprowadzono śledztwo pierwotne. W centrum— komisja śledcza z przewodniczącym Dickerson Hoover— w głębi grupa wyratowanych personel Ward Line, dziennikarze.

Kapitan Warms (zastępca Willmotta) z ciężko oparzoną ręką na bandażu, ze łzami w oczach tłumaczy, że zrobił co mógł. Wyratował także ciało komendanta.

Mechanik naczelny Abbot został obudzony o 3 nad ranem. Nic nie zrobił. Pobiegł jedynie do łodzi ratowniczej. Rzekomo nie widział żadnego pasażera na pokładzie. —"Ale słyszeliśmy ich krzyki,,— przyznaje się jeden z jego towarzyszy.

Radjotelegrafista Rogers był na stanowisku, dusząc się od dymu. Wysłał asystenta po rozkazy, a gdy ten nie wracał, sam podał depeszę iskrową. Wydobyto go nieprzytomnego z palącej się kabiny.

Na ratunek zjawił się statek „Luckenbach" ze straży wybrzeży i angielski statek "Monarcha Bermudów"". Co do statku amerykańskiego „President Cleveland" nie przyczynił się do chluby marynarki amerykańskiej. Kapitan jego, Carey, kazał szorować dalej pokłady przed wysłaniem łodzi ratowniczych. które spuszczono zapóźno. Oficerowie jego wyrzekli się dalszego pozostawania pod komendą Careya.

Dalsze dochodzenie w toku.

Zamorski.

Popierajcie czerwony krzyż.

PODSŁUCHANE

WZAJEMNA ADORACJA.

— Mój mąż podziwia u mnie wszystko: mój wygląd, mój głos, moje ręce, moją figurę.

— A co pani podziwia u niego?

— Jego dobry gust.

MARZENIA A RZECZYWISTOŚĆ

Malarz: —Czuję, że wyprzedziłem naszą epokę conajmniej o dwieście lat.

Gospodarz domu: — To możliwe, ale z komornem opóźnił się pan już o dwa lata.

NIEMOŻLIWE.

Lekarz: Pani mąż potrzebuje spokoju spokoju i jeszcze raz spokoju.

Żona chorego:— To na razie jest jeszcze niemożliwe, panie doktorze. Mnie potrzeba jeszcze nowej sukni, kapelusza i futra na zimę.

W SKLEPIKU.

Do sklepiku przychodzi dziecko, stawia dwie butelki na ladzie i prosi:

— Proszę o pół litra mleka...

— A co do drugiej butelki?

— A, to mamusia prosiła. żeby pan wlał wodę osobno, a nie razem z mlekiem.

Kluby fabryczne na spalskim stadjonie.

Rewja dorobku sportowego w obecności Głowy Państwa

Spała — szczyt marzeń młodzieży — znów zaroiła się sportowcami. Tym razem bawiły w gościnie letniej rezydencji Głowy Państwa kluby fabryczne okręgu łódzkiego. Cały dzień robotnicy—sportowcy z łódzkich, pabjanickich i tomaszowskich fabryk „meldowali" Panu Prezydentowi — swój dorobek z ostatnich lat. Całość wypadła doskonale w dziale sportowym. Życie obozowe nie stało jeszcze na wysokości przyjętego poziomu, program był przeładowany i niedobrany, w przyszłości jednak i na tym polu kluby fabryczne nabiorą rutyny. Ogół nie jednak rewja sportu klubów fabrycznych osiągnęła swój cel.

Przebieg uroczystości był następujący:

O godz. 10-ej rano odbyło się uroczyste nabożeństwo, w którem uczestniczył Pan Prezydent wraz z Małżonką, w otoczeniu świty.

Po wyjściu z kościoła był p. Prezydent przedmiotem spontanicznej owacji ze strony zgromadzonych.

O godz.12-ej odbył się wspólny obiad.

O godz. 14.30, przy dźwiękach hymnu narodowego, ukazał się p Prezydent w towarzystwie małżonki, z świtą. Rozpoczęła się rewja z udziałem tysiąca pięciuset sportowców, zrzeszonych w klubach fabrycznych.

Następnie rozpoczęły się zawody i gry sportowe, po ukończeniu których p. Prezydent osobiście dokonał rozdziału nagród.

Klub IKP otrzymał nagrodę za gry sportowe, klub Zjednoczone za męską atletykę, a Krusche-Ender za atletykę żeńską.

Pan Prezydent wyraził swoje zadowolenie z przebiegu święta sportu i zadeklarował w imieniu swojem i małżonki nowe nagrody przechodnie specjalnie dla zespołów sportowych fabrycznych, które o nagrody te ubiegać się będą w czasie dorocznych zawodów w Spale

Szef kancelarji p. Prezydenta Rzeczypospolitej i zastępca szefa zadeklarowali nagrody przechodnie.

W godzinach wieczorowych p. Prezydent dokonał zapalenia ogniska obozowego przy którem rozpoczęły się gry i zabawy sportowe.

O godzinie 9 min. 27 przybyła do Spały, jako pierwsza sztafeta kolarska „Widzewskiej Manufaktury", która wręczyła P. Prezydentowi Rzplitej adres hołdowniczy treści następującej:

„Panu Prezydentowi profesorowi Ignacemu Mościckiemu. Pierwszemu Obywatelowi i Włodarzowi Najjaśniejszej Rzeczypospolitej wieniec prostych, szczerych i czystych uczuć składamy w hołdzie wraz z zapewnieniem, że życie nasze nadal ofiarnie dla Polski popłynie".

W programie wieczorowym przy ognisku reprodukowały nie wszystkie kluby. Popisy wokalno taneczne z życia obozowego trwające około 2 godzin obudziły drżenie i szczere zainteresowanie w licznie zgromadzonych widzów. którzy darzyli wykonawców niemilknącemi oklaskami.

Powszechną uwagę zwracało artystyczne wykonanie menueta przez parę młodocianych tancerzy oraz utrzymany w stylu i precyzyjnie — oddany taniec solowy młodziutkiej a sympatycznej miłośniczki choreograficznej. re krutującej się ze świata robotniczego Łodzi.

W programie tanecznym wyróżniały się również popisy młodzieży żeńskiej w barwnych strojach ludowych.

W dziale wokalnym na podkreślenie zasługuje recytacja jednej z pracownic oddania z dużem odczuciem jak również piękny występ doskonale wyszkolonego chóru pod batutą prof. Charuby..

O godzinie 8 min. 30 wszyscy uczestnicy rewji. zgromadzeni naokoło dopalającego się ogniska odśpiewali chóralnie modlitwę wieczorną. zaintonowaną przez profesora Gharubę poczem orkiestra odegrała hymn narodowy. a przed stawiciele władz oraz kierownicy klubów dziękując Panu Prezydentowi za miłą gościnę oraz za zaszczycenie swą obecnością zawodów. pożegnali Głowę Państwa okrzykiem „Niech Żyje" podchwyconym przez tysiączne rzesze widzów.

Pożegnanie to zamieniło się w spontaniczną owację na cześć Włodarza Polski i Jej Pierwszego Obywatela.

W chwili opuszczania stadjonu przez Pana Prezydenta wyrzucone zostały sztuczne barwne ognie rakietowe.

Wieczorem Spała rozbrzmiewała śpiewami odjeżdżających zawodników którzy popularnym pociągiem złożonym z 32 wagonów powrócili do Łodzi mile wspominając przyjęcie u P. Prezydenta Rzeczypospolitej.

Życie ludzkie w obronie krów.

Krwawe strzępy na szynach.

KOBRYN. 2.10, (Od wł. kor.) Maszynista prowadzący pociąg z Kobrynia do Pińska, zauważył w pobliżu Horodca kilka krów na torze, które napróżno usiłował spędzić z szyn

jakaś starsza kobieta.

Prowadzący parowóz, przewidując wypadek, puścił w ruch wszystkie hamulce, dając równocześnie bez przerwy sygnały ostrzegawcze. Pociągu nie udało się jednak zatrzymać w porę. Kobieta, do ostatniej chwili, nie zważając na grożące niebezpieczeństwo. krzykiem i batem rozpaczliwie kontynuowała wysiłki, woląc raczej sama ponieść śmierć

niż stracić krowy.

Rozległ się krótki, urwany okrzyk. Pociąg zatrzymał się w odległości kilkunastu metrów, od tego miejsca, pozostawiając na torze

krwawe ludzkie strzępy.

Zabita okazała się mieszkanka Kobrynia, 57-letnia Tekla Zwal.

Cel wysiłków Zwalowej, przypłaconych jej życiem, został osiągnięty — krowy ocalały.

Żona odrąbała sobie palec,

by przekonać męża, że go nie zdradza

DROHICZYN, 2.10 (od wł. kor.) Na posterunek P. P. w Drohiczynie zgłosił się mieszkaniec wsi Sieniewicze, 67-letni Jan Kalinowski, i zameldował, że zięć jego, Teofil Makowski, zam. wpobliżu wsi, maltretuje i znęca się w okrutny sposób nad jego

córką 35-letnią Marjanną,

która zmuszona była opuścić jego dom.

Policja wszczęła dochodzenie. Ustalono, że córka Kalinowskiego wyszła za mąż za Makowskiego przed 13 laty. Od chwili zamążpójścia zdarzały się między nimi częste kłótnie i awantury, wywoływane przez Makowskiego po pijanemu.

Kiedy Makowski wyjechał ze sprzętami, a żona została w domu, przyszedł znajomy, niejaki Waciaw Kraków ka. Kiedy rozmawiali, powrócił Makowski. Zauważywszy go, Krakówka zbiegł Wówczas w umyśle Makowskiego zrodziło się podejrzenie, że

żona go zdradza.

Zaczął ją bić batem, a następnie zażądał by na udowodnienie niewinności odrąbała sobie palec.

Makowska udała się do sąsiedniej izby i w zdenerwowaniu odrąbała sobie

palec u lewej ręki.

Makowskiego pociągnięto do odpowiedzialności karnej. Stanie on wkrótce przed sądem okręgowym.

FR. HARPER

Dług Hanki Wolskiej

(ODWET)

57

Współczesna powieść obyczajowa = Adaptacja autoryzowana Eug. Saluckiego

—Tego już za wiele— przerwała ostro. — Pan gotów posądzić mnie, że się podszywam pod cudze nazwisko! — Sięgnęła do torebki i wyjęła książeczkę paszportową. — Oto mój paszport!

Pejcz trochę wytrzeźwiał i zawstydził się.

— Bardzo przepraszam panią, uniosłem się. . . to jest. . .. dziś byłem strasznie zdenerwowany. . . alkohol podziałał na mnie. Sam nie rozumiem, jak mogłem tak dalece się zapomnieć. Niech pani daruje.

Ela Wolska przerwała wynurzenia:

— Nie. Teraz żądam, by pan uważnie przejrzał mój paszport.

W tej chwili światło na sali zostało przyciemnione, na środku jej w jasnem kole zjawiły się dwie półnagie tancerki

Skonfudowany Pejcz pochylił się pokornie nad książeczką.

Ela Wolska wyjęła z chustki dwie pastylki, ukradkiem rozejrzała się po sali i widząc, że produkcje taneczne chwilowo przykuły uwagę gości, wrzuciła obie tabletki do swego kieliszka z winem Wzięła łyżeczkę od kawy rozmieszała na powierzchni ukazało się trochę białej piany.

Co to może być?— pomyślała. —Arszenik? Cjanek potasu?. W każdym razie nie aspiryna— uśmiechnęła się i we stchnęła z uczuciem ulgi, że najtrudniejszy moment ma już za sobą.

— Jeszcze raz przepraszam panią— odezwał się Pejcz, zwracając książeczkę paszportową.

Ela Wolska wzięła ją i schowała do torebki.

Rozbłysło światło, rozległy się rzadkie oklaski, przy hałaśliwym akordzie orkiestry tancerki przysiadły kilka razy w głębokim reweransie i podrygując wybiegły ze sali.

Ela Wolska z wymuszonym uśmiechem ujęła swój kieliszek:

— Nie warto o tem mówić. Wypijmy na zgodę.

Owładnęła nią przemożna siła, której nie mogła się oprzeć, chociaż in stynkt żywotności gwałtownie się buntował przeciwko niej. Spojrzała wokół siebie. miała wrażenie, że wszystkie głowy są zwrócone w jej stronę, potem twarze zaczęły się zbliżać, rosnąć, stały się bezkształtną masą, z której wyzierały setki przerażonych, nieruchomych oczu.

Ta sama obca siła podniosła kieliszek do ust. Wychyliła go do dna z bezgłośnem łkaniem, z tępą rezygnacją niemocy Wino było trochę gorzkie i miało smak popiołu. A może tak się jej zdawało tylko. . . W każdym razie była niezmiernie zdziwiona, że nic się nie stało, że trucizna nie wywołała najmniejszego bólu, jedynie krew zaczęła silniej krążyć i jej pulsowanie odczuwała nawet w końcach palców.

Pejcz coś opowiadał z ożywieniem, lecz nie zrozumiała jednego słowa, gwałtowne bicie serca zagłuszyło jego głos. W gardle zaczęło palić nieznośnie, oddech z trudem wydobywał się z wyschniętej krtani, w oczach zamigotały różnokolorowe światełka i srebrne punkciki, które to biegły do niej, zamieniając się w koncentryczne koła, to znów uciekały, stając się jaskrawemi gwiazdkami.

Koniec. . .? Spróbowała wstać, wy konała ten ruch z nieoczekiwaną lekkością, która przyniosła chwilową ulgę — jeszcze nie, ale głębokie przekonanie, że śmierć nastąpi za minutę lub za dwie, podcięło a potem sparaliżowało ją. Nie spostrzegła zaniepokojonego spojrzenia Pejcza, bezwiednym gestem nakazała mu pozostać na miejscu i zebrała całą siłę woli, by przejść przez salę spokojnym, równym krokiem.

Na korytarzu opuściło ją panowanie nad sobą. Świadomość bliskiej śmierci uczepiła się nóg straszliwym ciężarem; przełamała ją nadludzkim wysiłkiem, ledwo dowlokła się do pokoju tualetowego i zupełnie wyczerpana opadła na krzesło; wszystka krew zbiegła z twarzy, która się stała kredowo- biała, na usta wystąpiła piana.

Garderobiana podała szklankę wody:

— Niech pani wypije, to pani dobrze zrobi.

Ela Wolska miała wrażenie, że połyka roztopiony ołów, jednak woda trochę ją orzeźwiła. Wstała ociężale z krzesła i zataczając się poszła do drzwi.

— No, widzi pani — wypowiedziała garderobiana, dla której podobne widoki dawno przestały być nowością— już jest lepiej!

— Umieram— wykrztusiła dziewczyna, czepiając się kurczowo ramienia garderobianej— ratujcie mnie!.

— Niech pani nie robi awantur —powiedziała staruszka i szorstką dłonią pogłaskała ją po twarzy. Musiała pani zjeść co niedobrego, albo pani niezwyczajna trunków. To przejdzie. Może jesz cze wody?

— Do lekarza chcę. . .— wykrztusiła Ela Wolska, otwierając drzwi.

Garderobiana bezradnie pokiwała głową, wzięła zataczającą się dziewczynę pod ramię i poprowadziła na górę.

Chłodne powietrze trochę orzeźwiło Wolską, nocny ruch wywołał bezwiedny. nikły uśmiech.

Przed wejściem do „Caveau brillant" stało kilka taksówek. Staruszka doprowadziła chwiejącą się dziewczynę do jednej z nich i otworzyła drzwiczki. Ela opadła na siedzenie, wołając ostatkiem sił:

— Do lekarza. . . prędzej!

Szofer zawahał się, podejrzliwem spojrzeniem obrzucił pasażerkę, potem wzruszył ramionami i samochód pomknął.

Zupełny bezwład ogarnął Wolską. Na zakręcie ciało osunęło się w kąt. ramiona opadły bezsilnie. Chciała westchnąć, ale ściśnięta krtań nie przepuściła powietrza.

Ostatnią myślą świadomą było wspomnienie o Stockim i ta myśl odleciała razem z życiem.

Promień latarni ulicznej zajrzał do wozu i oświetlił na chwilę skuloną postać, odrzuconą wtył głowę, szkliste oczy, „w których zastygł wyraz skupionej powagi.

W pół minuty później taksówka zatrzymała się przed szpitalem św. Rocha. Służba wniosła bezwładnie ciało do ambulatorjum i złożyła na stole.

Katastrofa! — zawołał dyżurny lekarz pochylając się nad denatką.

Siostra otworzyła szafkę apteczną wyjęła niklowe pudełko, buteleczkę z bezbarwnym płynem i zaczęła śpiesznie szykować zastrzyk.

Lekarz wyprostował się i machnął ręką:

— Za późno, siostro, tu już nic nie pomoże. Trzeba zawiadomić komisarjat.

Już kilka lat pracował w szpitalu, nie jedno widział i spokojny dyżur zaliczał do rzędu wyjątkowych, ale takiego wypadku w swojej praktyce jeszcze nie spotkał: oprócz niezwykłej piękności, młoda kobieta zdradzała przynależność do sfery zamożniejszej, gdzie zamachy na życie są zjawiskiem bardzo rzadkim i prawie nigdy nie dochodzą do ambulatorjum pogotowia. Podszedł do telefonu.

Formalności śledztwa wstępnego trwały dość długo. Po zlustrowaniu dowodów osobistych dyżurny przodownik zawezwał komisarza policji, wkrótce zjawiło się paru reporterów, zawsze żądnych sensacji i nie ukrywających wielkiego zadowolenia, że będą mogli pierwsi donieść redakcji o sensacyjnem wydarzeniu: samobójstwo morderczyni.

Telegraf podał obszerne i dokładne sprawozdanie do prezydjum policji wieczornej.

d. c. n.

Gigantyczny wyścig.

Zwycięzca zagarnie 400 tysięcy złotych.

Wyścig powietrzny Londyn — Melbourn na trasie 19 tys. km. budzi obecnie olbrzymią sensację w całej Anglji.

Historja tego wyścigu jest następująca. Miljoner australijski Mac Robertson, pragnąc uczcić 100-lecie założenia Melbourne, stolicy stanu Victoria w Australji,

ofiarował 15.000 funtów,

t. j. około 400.000 złotych, jako nagrodę do podziału wśród zawodników, którzy najszybciej przebędą drogę z Londynu do Melbourne.

Zawody składają się z dwóch równorzędnych wyścigów. Pierwszy to wyścig bezwzględnej szybkości. Mogą do niego stanąć samoloty bez ograniczeń. Zwycięża ten zawodnik, który pierwszy wyląduje w Melbourne. Drugi wyścig to lot handicapowy według etapów, posiadających długość od 1200 do 4000 km. Przy obliczaniu wyników tego wyścigu brane będą w rachubę waga samolotów, moc silników, ilość osób itp. Dzięki tej formułce szanse samolotów o mniejszej szybkości i wadze będą zrównane z szansami samolotów szybszych. Pierwsza nagroda w konkursie o wysokości 10 tys. funtów szterlingów przypadnie w udziale zwycięzcy w pierwszym wyścigu

bezwzględnej szybkości.

Do obu wyścigów staje 65 samolotów przeważnie produkcji angielskiej, francuskiej, amerykańskiej, włoskiej, reprezentujących szesnaście państw. Wyposażenie tych maszyn będzie ostatnim wyrazem techniki lotniczej.

Lotnicy spodziewają się rozwinąć szybkość

do 450 km. na godzinę.

Pozatem obok pilotów zasiądą „roboty" czyli piloci automatyczni, którzy prowadzić będą samolot podczas kiedy pilot będzie wypoczywać.

Zawody te posiadają olbrzymie znaczenie dla rozwoju komunikacji lotniczej na większych odległościach. Trasa Londyn Melbourne ostatnio została przebyta w ciągu 8 dni i 12 godzin, prawdopodobnie podczas tegorocznego wyścigu uda się ten wynik jeszcze poprawić. W wyścigu handicapowym cała trasa musi być przebyta najpóźniej w ciągu 16 dni.

Dlaczego w teatrach i kinach

wyszydza się instytucję małżeństwa?

Tegoroczny 25 zrzędu zjazd katolików węgierskich zgromadził w murach stolicy około 150.000 uczestników wraz z delegatami z krajów ościennych. W procesji eucharystycznej uczestniczyli wszyscy dostojnicy kościelni i najwyżsi dygnitarze państwowi. W pochodzie szła również małżonka regenta Horthy'ego. W obradach zjazdu naczelne miejsce zajęła sprawa

ochrony rodziny.

Wszyscy mówcy sprowadzają upadek moralności publicznej do wspólnego mianownika i mianowicie do tego, że w teatrach i kinach widowiskowych wyszydza się instytucję małżeństwa, pozwala się na wychwalanie i tolerowanie rozwodów, co jest wynikiem wprowadzenia na Węgrzech przed 40 laty instytucji ślubów cywilnych. Kongres powziął rezolucję, wzywającą rząd, aby utrudniał rozwody i zwalczał tendencje, sprzeczne z wysokiemi celami instytucji małżeństwa.

Szczury w labiryncie.

CZY MĄDROŚĆ JEST DZIEDZICZNA?

Eksperymenty d-ra Tolmanna.

Niełatwe życie mają szczury doświadczalne doktora Tolmana! Postanowił on znaleźć odpowiedź na zawikłane kwestje, dotyczące ludzi, przy pomocy szczurów. Badacza tego interesuje szczególnie pytanie, czy człowiek pozostanie na zawsze na tym stopniu rozwoju, który osiągnął obecnie, czy też w ciągu licznych pokoleń, dzięki naturalnemu doborowi, który zawsze wypada na korzyść najzdolniejszych jednostek z czasem wyda rodzaj nadludzi — czy też przeciwnie, naskutek degeneracji spadnie znów

do poziomu ludzi jaskiniowych.

Chodziło więc Tolmanowi o wykrycie, czy mądrość i głupota są dziedziczne, i czy cechy te wzmagają się z pokolenia w pokolenie.

Pomysłowy badacz wybrał spośród swoich szczurów mądre — i głupie. Jak to zrobił? W jaki sposób poznaje się, że dany szczur jest mądry lub głupi? Rzeczywiście, zadanie nie było łatwe. Testy, używane do określenia inteligencji człowieka — próba szybkości dodawania, prób spostrzegawczości, próba ile razy trzeba powtórzyć wiersz by go wreszcie zapamiętać — wszystkie te zawiłe sposoby poznania stopnia rozwoju dziecka nie mogły być, niestety, zastosowane do badania szczurów.

Uczony postanowił zabrać się do rzeczy inaczej. Wziął sobie za sprzymierzeńca najpotężniejszy instynkt zwierzęcia — głód. Zbudował dla swoich zwierząt prawdziwy labirynt. Przy wyjściu z labiryntu stała miseczka pełna żeru. Szczury wpuszczano kolejno, zapach słoniny nęcił je do szukania drogi przez

niezliczone zakręty labiryntu.

Szczur pociąga nosem i puszcza się na poszukiwanie. Ale tu czeka go szereg rozczarowań. Trafia w zamkniętą ulicę. Musi się cofać. Potem posuwa się znów trochę naprzód poto tylko, aby się przekonać, że silny prąd elektryczny strzeże tego przejścia. Tak więc po długiem błąkaniu się zwierzątko wraca do punktu wyjścia. Zapach słoniniki wciąż je nęci. Zaczyna więc znów swą wędrówkę. Tym razem szczur orjentuje się już trochę, unika ślepych zaułków, unika miejsc naelektryzowanych, stara się dojść do swego celu inaczej i jeśli sprzyja mu szczęście, jeśli posiada pamięć i rozum, cierpliwość — trafia wreszcie do wyjścia, gdzie oczekuje na niego żer.

Badacz przyglądał się błądzeniu szczurów, ze stoperem w ręku notował czas wędrówki przez labirynt, protokółował dokładnie

wszystkie ruchy szczura.

Protokóły te są zupełnie różne. Niema dwu podobnych — tak jak niema dwu identycznych mózgów szczurzych. To też — dzięki tym wędrówkom okazało się, które szczury są mądre, a które głupie. Te które najprędzej znalazły właściwą drogę, które najsprawniej unikały przeszkód — to mądrale. Te, które rozbijały sobie łby o ściany ślepych uliczek, które uparcie powracały do miejsc naelektryzowanych, te które dopiero po długiem błądzeniu odnajdywały miseczkę ze szpyrką — to szczury głupie.

Tak więc po ukończeniu doświadczeń, badacz miał już osobno szczury zdolne — i osobno szczury niepojętne. Wśród mądrych i głupich znalazł się jednakowy procent samiczek i samców; okazało się, że u szczurów ani mądrość ani głupota nie jest przywilejem

jednego rodzaju.

W jednym tylko momencie zarówno głupie jak i mądre jednakowo stają się niewolnikami: sprawia to miłość. Zarówno w klatkach mądrych szczurów, jak i w mieszkankach ich niepojętnych kolegów ilość mieszkańców wkrótce się powiększyła. Dzięki umiejętnej pielęgnacji młode rosły prędko, rozwijały się doskonale i cieszyły się świetnym apetytem. Gdy już podrosły — nasz ciekawy badacz postanowił poddać młode pokolenie „probie labiryntu". Poddał temu egzaminowi osobno dzieci mądrych szczurów i osobno potomstwo niepojętnych. — I przekonał się, że obie te właściwości były dziedziczne. Potomkowie głupich szczurów błądzili w labiryncie jeszcze dłużej,

niż ich rodzice.

Natomiast pociechy szczurów mądrych po paru pomyłkach — znajdowały nadzwyczaj prędko właściwą drogę. Tolmann pomyślał, że kontynuując hodowlę powinien się wreszcie dochować genjuszy. Mądrzejsze dzieci mądrych rodziców, powinny dać życie jeszcze mądrzejszemu pokoleniu — kontynuując dalej hodowlę można by się dochować nadszczurów — szczurzych genjuszy.

Spróbowano tak zrobić — ale próba się nie powiodła. Już w trzeciem pokoleniu głupie szczury nie były wcale

specjalnie głupie,

a progenitura szczurów pojętnych nie wykazywała żadnych specjalnych zdolności. Zdumiewająco duży i tu i tu procent szczurów przeciętnych. I w tej i w tej grupie trafiały się jednostki — trochę mędrsze i trochę głupsze — i obie grupy nie różniły się już poziomem.

Okazało się, że choć wahadło odchyla się w prawo i w lewo — musi kiedyś powrócić do punktu równowagi. Zawsze więc będą szczury mądre i szczury głupie, i takt ten pozostanie bez znaczenia dla przeciętnego poziomu szczurów.

Czy u ludzi rzecz ma się tak samo? Oto pytanie, które trudno przesądzać..

Pielgrzymka żołnierzy wielkiej wojny.

Nabożeństwo za dusze poległych w Lourdes.

Nigdy chyba nawet przywykłe do podobnego rodzaju manifestacyj religijnych Lourdes nie było świadkiem uroczystości tak podniosłych i wzruszających, jak, te które odbyły się ostatnio gdy sześćdziesiąt tysięcy byłych żołnierzy wielkiej wojny przybyło z różnych zakątków świata, by złożyć Królowej Niebios hołd. Zaroiło się przed Bazyliką od wzbudzających szacunek postaci mężów dojrzałych nietylko wiekiem ale też doświadczeniem życiowem, zdobytem w krwawych zapasach na polu bitew i wrogich sobie okopach. W pielgrzymce międzynarodowej byłych żołnierzy stanęli bowiem zgodnie obok siebie Francuz, Belg i Niemiec, Włoch i Austrjak, zapominając o tem,

co niegdyś ich dzieliło

ożywieni dziś jedną wiarą w zwycięstwo sprawiedliwości, jedną nadzieją w chrześcijańskie braterstwo.

Pielgrzymkę zainicjowali i zorganizowali francuscy księża byli kombatanci, dla tego też w pielgrzymce tej największy wziął udział Francuzów, do których dołączyli się Polacy zamieszkali we Francji i Belgji. Oprócz nich przybyło do Lourdes 500 Belgów pod wodzą opata Van Assche, 800 Anglików pod osobistem kierownictwem ks. biskupa Myersa, parusat Czechów, bardzo wielu Włochów. O Farber ze zgromadzenia oblatów Niepokalanego Poczęcia NMP. przywiózł kilkudziesięciu Niemców; kardynał Innitzer nadesłał pismo tłumacząc czemu ze względu na trudne warunki ledwie setka Austrjaków bierze udział we wspólnym hołdzie NMP. w Lourdes; przybyli Portugalczycy, Amerykanie, Kanadyjczycy, nawet Rosjanie, zabrakło tylko oficjalnego przedstawicielstwa Polaków, choć polski FIDAC otrzymał w swoim czasie zaproszenie

do wzięcia udziału w pielgrzymce

Już o godz. 5 zrana rozpoczęły się w Bazylice Msze św. odprawiane przez księży wszelkich narodowości, zakończone specjalnem nabożeństwem żałobnem za dusze poległych, odprawionem na Esplanadzie. Wzruszającym zaiste był widok tych tysięcy niegdyś we wrogich okopach przeciw sobie walczących mężów, klęczących obok siebie w zgodnych szeregach, a potem w skupieniu kroczących w pochodzie Drogi Krzyżowej, jaka odbyła się popołudniu.

Główne uroczystości, których pamięć po zostanie w kronikach Lourdes i które nieza tartem wspomnieniem żyć będą w sercach uczestników, przypadły na niedzielę. Mszę św. w dniu tym odprawiono również na Esplanadzie, niea było bowiem świątyni, któraby mogła pomieścić tak

olbrzymie tłumy pielgrzymów.

Zainteresowanie Anglików do krzyżówek.

Dochodowe wydawnictwo.

Pismo angielskie „Times" w ciągu kilku tygodni umieszczało na swych łamach listy czytelników, dotyczące krzyżówek. Redakcja rozpisała ankietę, pytając swych czytelników, ile czasu potrzebują

na rozwiązanie krzyżówki.

Pierwszy list nadszedł od prezesa towarzystwa kolejowego i zarazem jednego z dyrektorów banku Angielskiego sir Joshua Stamp'a, który poświęca aż 50 minut dziennie na odgadywanie krzyżówki „Times'a" Sir Austin Chamberlain osiąga ten sam rezultat w 41 minut Znany autor romansów kryminalnych, prof. szkoły w Eton Montagne James cówiadczył, że rozwiązanie krzyżówki zabiera u niego tyle czasu, ile potrzeba dla

ugotowania jajka na twardo.

Zaprzjając gaz. James Montagne przystępuje do rozwiązania „zagadnienia" a gdy jajka są gotowe, łamigłówka zostaje rozwiązana.

Jednak rekord szybkości zdobył sędzia apelacyjny lord Killoven, który rozwiązuje zagadki z chronometrem w ręku zużywając na to

niecałe 13 minut.

W związku z zainteresowaniem czytelników „Times" podaje historję krzyżówek. W swej początkowej formie rozrywka ta była znana Sokratesowi i Arystotesowi. W XIX w. stale spotykana była w dziennikach rodzinnych i dziecinnych, zwłaszcza w krajach anglosaskich. Obecne swe niezwykłe powodzenie zawdzięcza krzyżówka dwom amerykańskim studentom harwardskiego uniwersytetu Robertowi Simonowi i Lincolnowi Schusterowi. Studenci zwrócili uwagę, że ich siostra ciotka każdej niedzieli rozwiązywała zadania przypominające krzyżówki umieszczone w prowincjonalnem niedzielnem piśmie wobec czego wydali zbiór

z 50 podobnemi zadaniami

W ciągu miesiąca książka osiągnęła 750.000 egz. zaś po 2 mies. — podwójną ilość. Obecnie wydawnictwo ich należy do rzędu największych w Ameryce. Krzyżówki wzbogaciły wydawców słowników encyklopedycznych, których w samej Angiji wydano 4 razy więcej w pierwszy rok mody na krzyżówki.

I. K.

WYRZUT SUMIENIA

Żona: — Znalazłam u ciebie w kieszeni list do pewnej pani.

Mąż: — Co? u mnie? Przysięgam ci, ko teczku, że nie mam pojęcia skąd się tam wziął.

— Ale ja mam pojęcie. Jeszcze przed trzema tygodniami dałam ci go do wrzucenia.

Życie jest pełne złudzeń
Strumień zimnej wody.

Życie pełne jest złudzeń, pełne niespodzianek. Człowiek dajmy nato, jadący koleją tam i ówdzie, wyrobił w sobie przekonanie, że Koluszki czy Zbąszyń, to tylko stacja kolejowa, gdyż z okien wagonu nie widać żadnych domów ani tubylczej ludności. W rzeczywistości jednak nawet w Koluszkach są domy, i jak przypuszczam, w Zbąszyniu znajdują się zbąszynianie.

Idzie człowiek ulicą, widzi przed sobą śliczną, zgrabną figurkę dziewczęcia, z wdziękiem poruszającą nóżkami i innemi częściami ciała. Przyśpiesza więc człowiek (jak się mówi: człowiek, to wiadomo, że chodzi o mężczyznę) kroku, zagląda przy wymijaniu w twarz szelmiutki i cofa się z przerażeniem, bo to nie twarz, lecz potwarz, bo to nie dziewczę, lecz babsztyl, który w dziwnej łaskawości losu otrzymał ładną figurkę i zgrabne nóżki.

Wpada człowiek któregoś dnia na ulicy na dawno niewidzianego przyjaciela. Serwus, bracie, jak się masz? Kopę lat Zaproszenie na herbatkę, naturalnie jutro, albo lepiej pojutrze, bo widzisz, jutro mamy z żoną wizytę, więc napewno pojutrze wieczorkiem, przyjdź koniecznie mój drogi, żona bardzo się ucieszy.

Przychodzisz, bo niby jakże, stary przyjaciel, po „kopie lat" niewidzenia zaprasza wieczorkiem na herbatkę, więc wiadomo, rozgadacie się o tem i o owem po dobrej kolacyjce, przy kieliszku konjaku, pani domu z wdziękiem dolewać wam będzie ciągle do kieliszka. Oznaczonego dnia gość kupuje dla pani kwiaty, ciastka, wstępuje jeszcze po bombonierkę, trzeba się przecież zrewanżować za kolację.

I tu kończą się złudzenia. Kolacji bowiem ani śladu i „herbatka" jest rzeczywistą i dosłowną herbatą, przytem słabą i niesmaczną. Po półgodzinnem siedzeniu i wypaleniu kilku własnych papierosów, gość wściekły wychodzi, przeklina starych przyjaciół i idzie do szynku na kolację, gdyż od rana, w przewidywaniu sutej kolacji nic nie jadł.

Łudzi się człowiek, że „aby do wiosny", a wszystko ułoży się lepiej, weselej i pomyślniej. Tymczasem od kilku lat ta wiosna nie przychodzi i nie jest wcale weselej. Jest natomiast starzej. Naogół człowiek nieorjentuje się, że lata płyną i, że dzisiaj jesteśmy starsi o 10 lat, niż byliśmy przed dziesięciu laty. Mówi nawet do znajomych, że wogóle nie czuje różnicy między okresem szkolnym, a obecnym. Aż przychodzi dzień, w którym człowiek, nie pamiętając, że czas płynie, spotyka młode, miłe dziewczę. Zapala się. Myśli: o, to w sam raz dla mnie. Odpowiada mi wiekiem, urodą, warunkami i t. p. I nagle wytryska z życia strumień zimnej, lodowatej wody:

— Spotkać się z panem? Eee, koleżanki śmiałyby się ze mnie, że chodzę ze starszymi panami. Zresztą mój chłopiec, Edzio, wie pan, ten co tak ładnie gra w piłkę nożną, no ten, co w przyszłym roku skończył szkołę, gniewałby się na mnie. Zresztą, jeżeli pan chce koniecznie, no to możemy iść do kawiarni, a jakby mnie ktoś zobaczył to powiem, że byłam z wujaszkiem.

Z chwilą, kiedy młody mężczyzna staje się dla dziewczynki „wujaszkiem" przestaje być mężczyzną.

Tak. Życie, pełne jest złudzeń.

Jerzy Krzecki.

G Ł O S.

Bona — Nie mogę sobie dać rady z dziećmi. Hałasują i biją się przez cały dzień

Pani: — Proszę przysłać je do mnie, ja im coś zaśpiewam.

Bona: — Już im również tem groziłam ale bez skutku.

W poszukiwaniu nowych abonentów telefonicznych.

Warszawa 3.10 — Aby podnieść dochodowość przedsiębiorstwa „Polska poczta, telegraf i telefon", niebawem na szeroką skalę przeprowadzona będzie akcja zjednywania nowych abonentów telefonicznych.

Słuszność zamierzonej akcji wydaje się bardzo wątpliwą i to aż z dwu powodów.

Przedewszystkiem propagowanie idei rozszerzenia sieci telefonicznej w obecnych warunkach, nie wytrzymuje zupełnie krytyki. Chcąc pozyskać nowych abonentów trzeba w pierwszym rzędzie, bądź obniżyć do minimum, bądź też byłoby najbardziej wskazanem, znieść zupełnie opłaty za założenie telefonu

Dopiero po przeprowadzeniu tego mówić można o telefonizacji kraju.

W charakterze akwizytorów, którzy zajmą się propagowaniem telefonów mają być zatrudnieni technicy i monterzy instalujący telefony, oraz wolny od zajęć służbowych personel urzędniczy. Na naczelnikach urzędów pocztowych spoczywać ma obowiązek dopilnowania aby w pozyskiwaniu nowych abonentów wzięli udział wszyscy

bez wyjątku pracownicy.

Nazwiska personelu, który występował w charakterze akwizytorów, oraz nazwiska i adresy osób i instytucyj, do których personel ten zgłaszał się z propozycją założenia telefonów mają być podawane do wiadomości dyrekcji.

Zarządzenie tego rodzaju nie jest niczem innem jak pogwałceniem praw pracowników pocztowych, których wbrew obowiązującym przepisom o najmie i pracy zatrudniałoby się po godzinach służbowych, a więc w godzinach wypoczynku, bez specjalnego wynagrodzenia.

Obrona przeciwgazowa w Japonji.



Członkinie japońskiego stowarzyszenia patrjotycznego odbywają w szpitalu wojskowym w Tokio pod kierunkiem oficerów ćwiczenia ratownicze przeciwgazowe.

BINET - VALMER.

Wartość życia.

Wśród zwycięzców dnia dzisiejszego, nieznanych wczoraj, a którzy może będą zwyciężonymi jutra, wśród chwilowych władców naszej chaotycznej epoki, nie znałem człowieka bardziej amoralnego, pozornie najwyraźniej pozbawionego zalet litości, miłosierdzia, czulszych uczuć, nad straszliwego Hektora Gellinarda, spekulanta, człowieka interesów, administratora niezliczonych instytucyj. Powierzchowność jego odpowiadała zajęciu: mając lat pięćdziesiąt, mimo potężnego wzrostu zachował wysmukłość młodego atlety. Jego twarz blondyna, o rysach prawidłowych, szpecił ohydny grymas, będący wyrazem jego pogardy dla wszystkich naogół, a każdej osoby, z którą miał narazie do czynienia, w szczególności. Gdy Gellinard przyjmował kogoś u siebie, wskazywał mu gestem krzesło, ale sam nie siadał. Mierzył krokami obszerny pokój, słuchał interesanta, odwróciwszy się do niego plecami, następnie znienacka stawał przed nim i odpowiadał mu lakonicznie. Wszelka dyskusja była niemożliwa. Odprowadzał następnie gościa do drzwi i otwierał je z kurtuazją. Audjencja była skończona.

Również tego dnia, jakkolwiek zaliczałem się do jego zażylszego koła, choć nie byłem jego przyjacielem, słuchał mnie, odwrócony do mnie plecami, lub nie przerywając swego spaceru po pokoju. A gdy skończyłem mówić, stanął przede mną.

— Nie — rzekł mi — nie każę go zabić.

Powtórzył raz jeszcze:

— Nie. Nie mogę.

Oczekiwałem już, że odprowadzi mnie do drzwi, ale nie pozwolił mi wstać, przytrzymując mnie za ramię ręką, ku memu zdziwieniu dżącą, poczem zawołał:

— Dick! Chodź tutaj!

Z jedynego ciemnego kąta w salonie wyłonił się wielki pies, owczarek alzacki o spiczastych uszach, i zbliżył się do nas powoli. Szerść jego była bez połysku, napoły przymknięte powieki zakrywały zaropiałe oczy. Zanim zdołał podejść do nas, z jękiem opadł na dywan.

— Spójrz pan na niego — rzekłem do Gellinarda, bowiem broniłem przed chwilą sprawy tego nieszczęsnego Dicka. Zanadto lubię zwierzęta, by móc patrzeć na ich mękę, a wobec tego, że jesteśmy ich wszechpotężnymi władcami, sądzę, iż mamy prawo skrócić ich agonję, i poprzez sen skierować ich do spoczynku, gdy dobiegną końca krótkiego swego przeznaczenia — chwili, gdy życie staje się dla nich już tylko męczarnią.

— Nie, nie mogę — powtórzył raz jeszcze Gellinard — i zaraz panu powiem, dlaczego.

Puściwszy ramię moje, ponownie zaczął chodzić po pokoju.

— Dick kończy szesnaście lat tej jesieni — zaczął. — Kupiłem go, gdy miał osiem miesięcy zaledwie. Jesteśmy więc przyjaciółmi od lat piętnastu.

Chodząc, omijał jęczącego psa. Zainterwenjowałem:

— I właśnie dlatego powinien pan...

Wrócił do mnie, raptownie chwycił jakieś krzesło, na którem usiadł okrakiem, opierając łokcie na poręczy, a głowę na rękach, w pozie, jakiej dotąd nie znałem u niego.

— Opowiem panu — szepnął mi głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszałem. — Jemu zawdzięczam, że żyję, jemu winienem stanowisko swoje. Przechodziłem różne koleje, jak wiadomo wszystkim w Paryżu. Gdy Dick uratował mi życie, nie znałem jeszcze wyżyn życia. Znajdowałem się na jego nizinach: w błocie, ale bez skandalu, w nędzy, w zupełnej nędzy! nieopłacony pokój, ostatnie grosze w kieszeni, które przelicza się, by wiedzieć, czy starczą na obiad, wstręt do samego siebie, wysiłek nędzarza, który z własnej duszy wyciąga resztki dumy, by zdobyć się jeszcze na potrzebną energję... No tak, miałem wszystkiego dość. Pogardzałem — przechodziłem szkołę pogardy — nie znajdując w niej jeszcze sił do zwycięstwa, szukając tylko sił, by zakończyć... Długie to były poszukiwania, mój dobry przyjacielu! W towarzystwie Dicka wyszedłem z miasta, nadbrzeżnemi bulwarami. W Billancurt weszliśmy do jakiejś brudnej kawiarni. Przeliczyłem raz jeszcze moje grosze, zamówiłem kieliszek alkoholu... potem drugi... Przyniesiono mi trzy kawałki cukru. Oddałem je Dickowi. I znowu udaliśmy się w drogę. Usiadłem na brzegu rzeki, a Dick gonił koty. Machinalnie wyprułem scyzorykiem firmę krawiecką z kieszeni marynarki, gdzie oznaczone było moje nazwisko. Wyjąłem portfel, zawierający już tylko dokumenty osobiste. Miałem je już podrzeć, gdyż chciałem za wszelką cenę uniknąć, by nazwisko moje figurowało w dziennikach. Lecz w tej chwili galopem powrócił do mnie Dick, zdyszany, z wywieszonym językiem. Zanim położył głowę na moich kolanach, dwa razy liznął mi twarz. Pogładziłem go, rzekłem mu, szlochając niemal: „A co z tobą będzie"? Musiał rozumieć mnie, bo zwrócił na mnie błagalne spojrzenie. Nigdy nie zapomnę tych oczu jego. Było to szaleństwem konającego człowieka, lecz ujrzałem łzy w oczach Dicka. Objąłem go, błagając go o przebaczenie: — „Jesteś ładnym psem, poradzisz sobie, gdy mnie nie będzie!" — Zawył... Biedak i dziś wyje, ale już spowodu własnego bólu. Wówczas zawył nade mną... Łapami objął moją rękę i patrzył mi w oczy. We wzroku jego było coś, czego niema nawet w oczach kobiety, którą opuszczamy... Oczy jego błagały i obiecywały... wkońcu zmusiły mnie do płaczu. I wówczas powiedziałem mu, co rzekłem panu przed chwilą: „Nie mogę!" Wsunąłem spowrotem portfel do kieszeni, nie zniszczywszy papierosów, i oświadczyłem Dickowi: — „Idziemy!" Trzeba było widzieć radość jego. Zrozumiałbyś także, że pies odgadł wszystko. Szedł przy nodze mej, niemal pchając mnie przed siebie, a powoli jego radość i ufność udzielały mi się także. Było nas dwoje do wspólnej walki z życiem. Naprawdę dwoje. Bowiem, ileż to razy jeszcze, zanim odwróciło się ode mnie niepowodzenie, mawiałem do psa: „Gdyby nie ty, Dick..." A oczy jego odpowiadały mi: — „Odwagi! wybrniemy z tego!"

I przyszło szczęście — jedyne szczęście, jakie liczy się dla mnie: potęga!... I chciałby pan teraz, żebym uwolnił Dicka od cierpień w sposób, w jaki sam pragnąłem uciec od własnego nieszczęścia?... Zaczekaj, pokażę ci coś!

Zawołał:

— Dick! chodź tu!

Pies dźwignął się z trudnością.

— Usiądź tu, stary, przede mną — rozkazał Gellinard. — A pan niech stanie za mną, by pochwycić jego spojrzenie...

Ręką otarł psu zaropiałe powieki, ręką braterską, ostrożną i pieszczotliwą:

— Spójrz na mnie, Dick! Dobrze jest przecież żyć, mimo wszystko, prawda, mój dobry Dicku? Nie chcesz rozstać się ze swym panem, prawda, piesku? No, spójrz na mnie! Pojedziemy razem na spacer.

Spiczaste uszy psa podniosły się do góry, a w oczach Dicka przemknął błysk młodości.

— Razem na spacer, Dick! Dobrze jest żyć!

Pies zaszczekał, zapominając o swym bólu. Gellinard powstał, dając mu sygnał do odejścia.

— Widział pan! — rzekł mi raz jeszcze. — Zawiozę go teraz do lasku Bulońskiego, radować się będzie kilka chwil... a kilka chwil radości — chciej pan wierzyć memu doświadczeniu — warte są, by żyć, by pożyć jeszcze trochę... Tłum. L. M.

ABONAMENT miesięcznie w administracji wzgl. zamiejscowy zł. 2,50. zagranicą zł, 5,50.

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona w tekście zł. 600 pół strony zł. 325 1mm. wiersz 1 łamowy opisowy zł. 2.50 specjalnezł.. 1,50. reklamy 60 gr. drobne 15 groszy za wyraz. W niedzielę i dni świąteczne 25 proc. drożej

Druk i Wyd.: Nowy Czas. Katowice Redaktor nacz. i odpow. Józef Książek. P. K. O. Nr. 300. 277.